CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK III. WARSZAWA, 23 Października 1938 R. NR. 41-42

Refleksje przedwyborcze

Punktem głównym zainteresowania przedwyborczego była do niedawna sprawa stosunku zorganizowanych czynników opozycji politycznej do wyborów. Sprawa ta wyjaśniła się tak, jak się wyjaśnić nie była powinna: negatywnie. Dziś już zainteresowanie przenosi się na inne odcinki.

Nie mniej jednak warto dokonać jeszcze oceny argumentów, które padały w czasie rozważań tej sprawy za koniecznością stanowiska negatywnego. Głównym argumentem było rzekomo zupełne zamknięcie możności kandydowania dla stronnictw opozycyjnych przez system kolegiów wyborczych. W świetle przebiegu zebrań kolegialnych argument ten okazał się mocno nieistotny.

Nie będziemy tutaj entuzjazmowali się ordynacją wyborczą. Była ona zrodzona z ducha antydemokratycznego — to prawda. Niemniej jednak twórcy jej zostawili pewnego rodzaju klapę bezpieczeństwa, mającą zabezpieczyć, by kolegia wyborcze nie znalazły się w nazbyt rażącej sprzeczności z istotnym układem sił politycznych i społecznych kraju. Klapą tą była swoboda zgłaszania do kolegiów wyborczych członków z tytułu zbiorowego zaufania grupy pięciuset obywateli. Przebieg zebrań kolegialnych zilustrował ponad wszelką wątpliwość fakt, że każda zorganizowana siła, która byłaby zdolna do zgromadzenia w okręgu wyborczym poważniejszej, lecz wcale nie fantastycznej liczby, powiedzmy, około 10.000 podpisów, nie mogła być w żadnym wypadku usunięta poza nawias możności wystawienia kandydatów. Niedemokratyczność więc postanowień obecnej konstytucji miała i ma w tym punkcie dość wyraźny kres: załamuje się w stosunku do sił istotnie wielkich. Oczywiście, wyzyskanie tego rodzaju przepisów wymagało pewnego rodzaju dodatkowych starań i wysiłków. Jednakże zebranie pewnej liczby podpisów dla czynnika, który byłby naprawdę pewien swej politycznej przewagi, byłoby chyba najłatwiejszą i najtańszą formą manifestacji siły, napewno tańszą i łatwiejszą, aniżeli robienie „rewolucji".

Otóż jest rzeczą wysoce charakterystyczną i wymowną, że żadne ze stronnictw, które mówią o swych ogromnych wpływach w kraju, nie zechciało w praktyce skorzystać z tego rodzaju sposobności manifestacji, dającej równocześnie bezpośredni wpływ na bieg spraw państwowych, w pierwszym rzędzie na sprawę reformy ordynacji wyborczej. Wszystkie wolały schować się za doraźnie wygodne, bo bierne, decyzje uchylenia się od wszelkiej próby. Zastosowano coś, co przypomina autohypnotyzerskie metody wmawiania w siebie siły, energii, woli przez uporczywe powtarzanie odpowiednich frazesów. Metoda ta jednak nie może dać rezultatów istotnie dobrych. Kto chce naprawdę wyrabiać w sobie cechy dzielności, nie może usuwać się od działania, poprzestając tylko na entuzjazmowaniu się powtarzaniem: „jestem silny, jestem popularny, mam za sobą całe społeczeństwo". Tego rodzaju „samodurstwo" może być do czasu przyjemne, w rezultacie jednak prowadzi do bardzo bolesnych rozczarowań.

W praktyce jedyną siłą polityczną, która realnie sięgnęła po wyzyskanie pozostawionego przez ordynację prawa uzupełniania kolegiów wyborczych w drodze wskazywania ich członków przez grupy obywateli, był Obóz Zjednoczenia Narodowego. I tutaj niezmiernie charakterystyczny jest fakt potraktowania przez pewne organy prasowe wypadków skorzystania przez O. Z. N. z wyraźnego przepisu ordynacji wyborczej, jako przejawu swoistego nadużycia. O organizowaniu przez O. Z. N. tak zwanych „pięćsetek" pisało się jako o „cudach nad urną", jako o wybitnej nieprzyzwoitości, posunięciu niemal kryminalnym.

Nieprzyzwoitość korzystania z tego rodzaju przepisu miała polegać na tym, że w ten sposób O. Z. N. wyrabiał sobie rzekomo możność wpływania nie tylko na stawianie własnych kandydatów, lecz i na niedopuszczanie ludzi dla siebie niepożądanych. Nie będziemy tutaj dyskutowali na temat nieszczerej naiwności tych, którzy w danym wypadku stają się głosicielami ultra arkadyjskiego poglądu, iż w czasie wyborów obowiązkiem dobrego wychowania jest współdziałanie z przeciwnikiem politycznym dla zapewnienia mu szans, których sam przez się nie posiada. W danym wypadku istota zagadnienia leży gdzieindziej.

Jeśli Obóz Zjednoczenia Narodowego korzystał w pewnych wypadkach z prawa uzupełnienia kolegiów wyborczych dla przeciwstawienia się pewnym kandydatom, stronnictwa polityczne nie czuły się zaś na siłach dla wyzyskania tegoż przepisu dla przeprowadzenia swych kandydatów przez kolegialne „ucha igielne" — to tutaj zachodzi wcale nie drobna różnica. Dla postawienia kandydata wystarcza zdobycie jednej czwartej składu kolegium wyborczego, dla niedopuszczenia trzeba mieć ponad 75% tego składu. Jest to większość kwalifikowana wcale pokaźna. W tych warunkach rezygnacja z walki o uzyskanie wpływu na kolegia wyborcze nie może być traktowana inaczej jak tyl-

ko jako wyraz poczucia istotnej słabości. Dowodziłoby to tylko jednego faktu, „Wielkie" i „masowe" w swoim pojęciu zorganizowane ruchy polityczne Stronnictwa Narodowego, Ludowego, czy P. P. S., mniej znaczą w kraju, niżeli p. Mackiewicz w Wilnie. Może to być przyjemne dla p. Mackiewicza, nie jest ani przyjemne, ani zaszczytne dla „wielkich" ruchów politycznych.

Reasumując: czynnik, który byłby pewien swej siły politycznej, miał w danych warunkach jasną drogę postępowania — wyzyskanie odpowiedniego przepisu ordynacji wyborczej dla osiągnięcia 25% składu kolegiów wyborczych, następnie zaś wykazanie pełni swego wpływu w głosowaniu powszechnym.

Wybrano drogę inną: krzyknięto „nie pozwalam", wycofano się na zgóry upatrzone pozycje. Istotą tych pozycji jest, że ich załoga skazana jest na pielęgnowanie w sobie i w społeczeństwie szczególnie niebezpiecznego negatywizmu. Jedną z najistotniejszych linii podziału, jakie dzisiaj utrwalają się w społeczeństwie, zaczyna być linia podziału na tych, którzy z każdego powodzenia, z każdego sukcesu Polski mogą się cieszyć całym sercem i tych, którzy cieszą się tylko pewnymi jego komórkami, zostawiając inne na hodowlę negatywnych nadziei, na oczekiwanie jakichś wewnętrznych wstrząsów i powikłań, które — w naszych warunkach — nie byłyby napewno powikłaniami tylko wewnętrznymi.

Lecz społeczeństwo tego stanowiska nie może i nie będzie chciało zrozumieć i kultywować. I tutaj leży podstawowy błąd taktyczny negatywnego stanowiska opozycji w stosunku do wyborów. Kto nie chce wyzyskać drogi prawnej dla walki o realizację swych postulatów, musi albo pójść na drogi poza prawne, co w warunkach polskich nie rokuje żadnych nadziei powodzenia, albo z walki zrezygnować. Alternatywa dla naszych stronnictw opozycyjnych, zarówno t. zw. „narodowych", jak t. zw. „demokratycznych", wysoce niebezpieczna.

I stąd — z całym przekonaniem, któremu już parokrotnie na łamach naszego pisma dawaliśmy wyraz — powtarzamy: decyzja stronnictw politycznych bojkotowania obecnych wyborów była poważnym błędem, wyrazem osłabienia zarówno instynktu obywatelskiego, jak też politycznego rozumu i zdolności przewidywania.

Lecz — jak powiedzieliśmy wyżej — dziś jest to już sprawa przeszłości. Zainteresowanie przenosi się na inne odcinki. Jednym z tych odcinków jest ocena wartości przyszłego Sejmu według oceny wartości ustalonych przez kolegia wyborcze list kandydatów.

*

Podstawowym argumentem przy negatywnych ocenach składu kandydatów wyłonionych przez kolegia wyborcze jest stwierdzenie, że większość tych kandydatów, to „ludzie nieznani".

Wartość tego argumentu jest niezmiernie problematyczna. Realnego znaczenia może on nabrać dopiero przez przeciwstawienie składowi personalnemu izb poprzednich. Inaczej, twierdzenie powyższe może się stać uchwytne i wymierne dopiero w następującej postaci: nazwiska kandydatów do najbliższego Sejmu mają mniejszą wymowę popularności, niżeli nazwiska kandydatów, czy posłów w izbach poprzednich.

Twierdzenie tak postawione jest tylko częściowo słuszne. Istotnie w pierwszych sejmach Rzeczypospolitej znalazł się szereg przywódców politycznych o wyrobionych nazwiskach. Był to fakt najzupełniej naturalny, lecz niekoniecznie w skutkach pozytywny. Powodował silne zakrzepnięcie naszego życia organizacyjno - politycznego w wąskich i niezawsze zdrowych formach partyjnych, przeważnie wyniesionych jeszcze z okresu niewoli i zaborów, następnie utrwalonych i usankcjonowanych na terenie parlamentarnym. Nie trzeba jednak przeceniać liczebnego znaczenia tych sztabów w całości składu izb. Ogromna, liczbowo przygniatająca większość izb to byli „ludzie nieznani" dwóch kategorii. Jedni, którzy w następstwie wyrabiali sobie pozycję przez działalność parlamentarną i przechodzili do kategorii „znanych", inni — bezporównania liczniejsi — którzy po jednej czy nawet kilku kadencjach znikali z izby poselskiej czy senackiej równie nieznani i ogółowi obcy, jak się w nich pojawiali.

Jaka będzie przyszłość polityczna dzisiejszych „ludzi nieznanych"? Zapewne będą wśród nich przedstawiciele zarówno jednej, jak i drugiej kategorii parlamentarzystów. Ciężar zagadnienia przerzuca się tutaj na sprawę atmosfery ideowej obu izb. Na podstawie analizy dotychczasowej listy kandydatów można zaryzykować twierdzenie, że Sejm przyszły bądzie środowiskiem ludzi wysoce podatnych na to, by bez zaślepień i uprzedzeń, bez doktrynalnego obciążenia, natomiast z dużą dobrą wolą i szczerością przekonań szukać najwłaściwszych dróg naszej przyszłości.

Wśród zadań przed izbami stojących pierwsze miejsce z racji zarówno swego znaczenia, jak i treści Orędzia Pana Prezydenta, zajmie sprawa ordynacji wyborczej. Zawcześnie jeszcze przewidywać szczegóły i technikę prac nad tą sprawą. Nie mniej jednak wytyczna jej zarysowuje się jasno. Wynika ona z całości naszej sytuacji i zadań naszego życia politycznego. Wśród dwóch skrajności współczesnych form i ustrojów, których biegunami jest krępująca wszelką swobodę myśli dyktatura lub polityczna anarchia, Polska wytrwale szuka dla siebie własnej drogi, której wykładnikiem ma być — według słów wypowiedzianych przed paru miesiącami przez Marszałka Śmigłego - Rydza — „wolność okiełznana porządkiem". Sprawa ordynacji wyborczej jest fragmentem tych poszukiwań i na terenie przyszłych izb musi być traktowana nie jako przedmiot takich czy innych targów i kompromisów, ani też jako sposób utrwalenia wpływów politycznych określonej grupy ludzi, lecz jako środek zabezpieczenia Państwu i Narodowi, w granicach maksymalnych, obu tych cennych i dla zdrowego rozwoju koniecznych elementów: wolności i porządku.

„Polska ma przed sobą ustawiczny dylemat bardzo prosty: albo wyraźny, trwały i wszechstronny marsz ku górze, ku potędze politycznej, ku rozwojowi gospodarczemu, ku dumie z imienia Polski i z polskiej pracy, albo staczanie się w przepaść, na której dnie nastąpi to samo tragiczne przebudzenie, które tylu ludziom odebrało zmysły w roku 1795. Stać w miejscu nie możemy."

„Musimy się decydować na wybór drogi. Nie tylko Rząd, nie tylko Obóz Zjednoczenia Narodowego, ale i wy wszyscy, których działanie i opinie — czy tego chcecie, czy nie chcecie — zaważą samorzutnie na losach Polski. Byłoby to naprawdę bardzo marne społeczeństwo, które zagadnienie zespolenia sił i działań pozostawiłoby tylko kilku jednostkom i radowało się, że zadanie to realizuje się opornie. Byłaby to psychiczna degeneracja.

Nie wydaje mi się możliwe, by instynkt narodowy i świeże wspomnienia walki o odbudowę Państwa, zezwoliły ludziom uczciwym, w stosunku do rządu, który do ostatnich sił ludzkich wymiata błędy przeszłości, na realizowanie hasła bojkotu tych funkcyj państwowych, których nigdy, w najgorszych warunkach nie zbojkotowano w stosunku do rządów zaborczych. Byłby to paraliż instynktu państwowego i tak będzie oceniony zagranicą.

A jeżeli są pojedyńcze typy ludzkie, które, gdyby mogły być obecne przy stwarzaniu świata przez Pana Boga, to błagałyby Stwórcę, by pozostawił chaos, zamęt żywiołów, gdyż wśród ładu i prawa te jednostki nie mogą żyć spokojnie — to nadszedł ostateczny czas odwrócenia się z pogardą od tych jednostek.

Nikt nie ma prawa, by dziś — w chwili wybuchów wulkanu historii — jego indywidualna sprawa, czy jego niechęć do akcji zjednoczenia i pojednania, czy niechęć do Rządu, który jest czynnikiem zmiennym, utrzymywała naród polski na trwałe w rozproszeniu sił, które tak bardzo Polsce są potrzebne."

(Eugeniusz Kwiatkowski: Z przemówienia wygłoszonego w dniu 16.X.1938 r. w Katowicach).

Tadeusz Katelbach

Rola Polski na tle sytuacji międzynarodowej

Streszczenie przemówienia wygłoszonego na wiecu przedwyborczym Obozu Zjednoczenia Narodowego w sali Teatru Polskiego w Warszawie w dniu 16 X.

Przypominam sobie doskonale chwilę, gdy przed ośmiu czy dziewięciu laty jechałem z Berlina na teren Śląska Zaolzańskiego, który teraz oto wraca do Macierzy. Odbywał się na tym terenie wówczas zjazd mniejszości polskich z państw, graniczących z Polską. Byli więc delegaci Polaków z Niemiec, Litwy, Łotwy, Rumunii. Gospodarzami była — ówczesna jeszcze „mniejszość polska" w Czechosłowacji. Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli tej „mniejszości" był poseł do parlamentu praskiego Wolff, dzisiejszy pan starosta frysztacki. Pod czujnym okiem policji czeskiej odbywały się nasze obrady. Lecz do obrad tych przywiązywaliśmy znaczenie drugorzędne. Całymi dniami zwiedzaliśmy szkoły polskie, świetnie zorganizowane spółdzielnie robotników polskich oraz zagrody wiejskie. Wszędzie witano nas radośnie. Wszędzie czuliśmy, że ten lud trwa na swym posterunku i przetrwa. Toteż żegnając się z dzisiejszym panem starostą frysztackim, powiedziałem mu: jesteście najlepiej zorganizowaną mniejszością polską spośród wszystkich mniejszości polskich, zamieszkujących państwa graniczące z Polską. Wiemy, że przetrwacie i zwyciężycie.

Nie był to czczy frazes. Wierzyłem, że przetrwają i zwyciężą. Lecz dziś wyznać to muszę szczerze—nie wierzyłem wówczas, że zwycięstwo Polaków z Zaolzia będzie tak prędkie. Mieszkałem wtedy już od kilku lat w Berlinie. Jeździłem dość często do Genewy. Obraz naszej sytuacji międzynarodowej, oglądanej od strony Berlina i Genewy, przedstawiał się wcale niezachęcająco. Szeroka opinia Polski nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, jak często był wręcz ponury.

Niemcy, kierowane wytrawną ręką Gustawa Stresemanna, łudzące demokracje zachodu: Francję i Anglię — swym rzekomym liberalizmem i pacyfizmem, atakowały nas w sprawie granic. Nasycane stale kapitałem, dostarczanym im dzięki pośrednictwu finansiery żydowskiej, „stawiającej" na Berlin, Niemcy coraz śmielej podnosiły hasło rewizji granic z Polską. Mała Litwa popierana przez nie zgłaszała pretensje do Wilna! Systematycznie, co kilka miesięcy, ciągani byliśmy przed forum Ligi Narodów w charakterze oskarżonych o rzekome przewinienia. Na forum tym grasował utalentowany makler polityczny, intrygujący przeciw nam między Paryżem i Berlinem — pan Benesz. Pseudo-demokratyczne i pseudo-liberalne Niemcy organizowały opinię demokracji zachodnich przeciwko rzekomo faszystowskiej Polsce Józefa Piłsudskiego! Przypominam sobie taką sesję genewską Ligi Narodów, kiedy kuluary tej „szlachetnej" instytucji były wprost zalane różnojęzycznymi broszurami, szkalującymi imię Polski.

Byliśmy w ustawicznym ogniu ataków, bądź też otaczał nas chłód obojętności. Francja Brianda, „uspokojona" rzekomym liberalizmem niemieckim, zaczęła dążyć do odnowienia „tradycyjnego" sojuszu francusko-rosyjskiego. Jak nic nie orientowała się w przemianach, dokonywujących się w Niemczech, podobnie nie orientowała się w podwójnej, podstępnej grze moskiewskiego Kominternu. Czyż w tych warunkach można było wierzyć w szybkie zwycięstwo sprawiedliwości dziejowej, w szybkie wyzwolenie Śląska Zaolzańskiego?

A jeśli to zwycięstwo przyszło, warto jest zadać sobie pytanie, co spowodowało tę pomyślną i szybką zmianę. W polityce przecież nie ma przypadków. Polityka zagraniczna, to pięknie przybrana we wspaniałą frazeologię gra, lecz w grze tej zawsze zwycięża dobry rachunek. Mimowoli przypominają się słowa nienawiści, którymi obrzucił przed setkami lat kronikarz niemiecki, Dytmar, geniusz polityczny wielkiego twórcy ówczesnej mocarstwowej potęgi Polski — Bolesława Chrobrego, nazywając go lisem przebiegłym, czy chytrym. Lecz kto gniewa się, ten nie ma słuszności. Przed lat tysiącem zwyciężył dobry rachunek, zwyciężyła spokojna i zdecydowana postawa. Ta spokojna, zdecydowana postawa zwyciężyła i teraz, zwyciężyła szkoła polityczna zmarłego Wielkiego Marszałka, w której wychowali się Jego współpracownicy i uczniowie. A Józef Piłsudski uczył liczenia na własne siły narodu, podporządkowania wszystkiego dążeniu do potęgi Polski oraz przedkładania czynu i jeszcze raz czynu nad dyplomatyzowanie. Normalizacja stosunków z Litwą i powrót Śląska Zaolzańskiego na łono Macierzy — to wykonanie części testamentu zmarłego Marszałka. Stało się tak wbrew różnym opozycjonistom, którzy z jakimś patologicznym, czy partyjnym zainteresowaniem nie widzą nic pozytywnego w naszej rzeczywistości politycznej, kwalifikując ją najgorszymi słowami. Ci ludzie bełkoczą nieraz coś o „rewolucji narodowej". **Lecz kto umie dobrze i trzeźwo patrzeć, ten wie, że ani dziś, ani jutro, ani pojutrze nie ma miejsca w Polsce na żadną rewolucję: ani „narodową", ani „społeczną".**

Lecz wróćmy do tematu. W momencie załamywania się całej politycznej konstrukcji powojennej, w momencie pierwszej od czasu Wersalu zmiany mapy politycznej kontynentu europejskiego, Polska występuje jako czynnik samodzielny, bez którego nie można o niczym w Europie decydować. Zasada spopularyzowana w narodzie przez ministra Becka: „nic o nas bez nas", odniosła triumf niewątpliwy. Okazało się, że Polska jest, według słynnego wyrażenia Napoleona, wypowiedzianego wprawdzie dopiero na wygnaniu, kluczem w budowie sklepienia europejskiego.

Jeśli tak jest, to stało się to nie tylko dzięki zwycięstwu zasad wychowawczych szkoły Wielkiego Marszałka. Prócz woli i zdecydowania, okazanych przez Jego uczniów, z Wodzem Armii, Marszałkiem Śmigłym-Rydzem na czele,—zwyciężyła jeszcze wnikliwość obserwacyjna w ocenie sytuacji międzynarodowej. Zorientowaliśmy się wcześnie, że konstrukcja powojenna Europy, oparta o fikcyjny autorytet Ligi Narodów, musi się załamać. Widzieliśmy, jak na przywiązaniu do tej fikcji straciła Wielka Brytania w swym konflikcie abisyńskim z Włochami, widzieliśmy, jak krok za krokiem traciła Francja, ustępując w Europie miejsca coraz bardziej wzmagającej się na sile Trzeciej Rzeszy. Widzieliśmy, jak ośmieszyła się Rosja Sowiecka — ten kolos na glinianych nogach, który w cieniu fikcji genewskiej pragnął rozżarzać na całym świecie ogniska niepokojów. Przewidywaliśmy koniec państwa czechosłowackiego w jego niedawnej postaci — państwa, które całą swą egzystencję budowało na genewskiej fikcji. Dzięki słuszności przewidywań, wyszliśmy z przemian, które nadeszły, wzmocnieni i silni. I tak wyglądamy dziś w świecie.

Lecz aktywizmowi zewnętrznemu naszego narodu i państwa towarzyszyć musi zawsze aktywizm wewnętrzny. Nasze położenie geopolityczne pomiędzy dwoma silniejszymi od nas sąsiadami zmusza nas do tego, żebyśmy zawsze byli wewnętrznie naprawdę zjednoczeni. Tylko wówczas, nie spoczywając na laurach, będziemy mogli realizować wielki program naszej polityki zagranicz-

nej, który od momentu naszego odrodzenia państwowego po dziś dzień był i pozostanie niezmienny. Polska, zarówno ze względu na swe położenie centralne, jak ze względu na swą siłę liczebną, jest naturalnym ośrodkiem, wokół którego skupiać się winny narody międzymorza bałtycko-czarnomorskiego. Dysproporcja sił pomiędzy Litwą, Łotwą, czy Rumunią z jednej strony, a Rosją lub Niemcami z drugiej — jest zbyt wielka. Polska winna się stać organizatorem politycznej osi pokoju, dzielącej dwa wielkie organizmy od siebie. Uczyni to tym skuteczniej, im bardziej będzie silna wewnętrznie, im bardziej będzie dla państw od siebie mniejszych atrakcyjna ustrojowo, społecznie, kulturalnie i gospodarczo. Polska musi się stać ogniskiem idei, które zapładniać winny narody, szukające w niej pomocy, oparcia i szczerej współpracy.

Jeśli tak pojmować będziemy swą rolę w rejonie naszych zainteresowań politycznych, bezpośrednich, nowa karta dziejów, która odwróciła się w 1938 r., rozpocznie rozdział, który świadczyć będzie, że kroczymy ku wielkości i potędze naszego Narodu i Państwa.

Spiszak

„Czwarty zabór Polski"

„Czwartym zaborem" nazywają Polacy ze Spisza i Orawy swoje ojczyste strony, stanowiące wraz z okręgiem czadeckim części składowe dawnych Węgier, które po upadku mocarstw centralnych znalazły się w obrębie Czechosłowacji. Obok zaborów rosyjskiego, niemieckiego i austriackiego był to zabór węgierski. Warunki rozwoju narodowości polskiej w tym zaborze były nieskończenie cięższe, aniżeli na jakiejkolwiek innej połaci ziem polskich, z wyjątkiem chyba ziemi mazursko-warmińskiej w Prusiech Wschodnich; a nie stały się one bynajmniej łatwiejsze, gdy miejsce Budapesztu zajęła Praga. Przed r. 1918 najskromniejsze próby polskiej roboty na Spiszu i Orawie były bezlitośnie tępione przez żandarmerię węgierską. Pozbawiony świadomości narodowej, która zniknęła zresztą dopiero w końcu XIX w., lud polski wiązał się z równie uciśnionymi Słowakami, widząc swego bohatera w księdzu Andrzeju Hlince, nieugiętym obrońcy praw ludu słowackiego. Po r. 1920 (data decyzji w Spaa) zdeklarowani polscy przywódcy ludności spisko-orawskiej znaleźli się w Polsce, odcięci od swego ludu, z którym mogli się odtąd porozumiewać tylko konspiracyjnie; nic dziwnego, że kontynuował on razem ze Słowakami walkę o prawo samostanowienia dla „Slovenska", nie upominając się o własne prawo do odrębnego bytu.

Skąd się jednak wziął czwarty zabór? Każdy z trzech składających go członów ma swoją odrębną historię. Północny Spisz oderwali Węgrzy od Polski w pocz. XIV w.; później jednak Polska odzyskała znaczną część tego kraju, przejmując go w r. 1412 tytułem zastawu za sumy pożyczone przez Jagiełłę Zygmuntowi Luksemburskiemu i zatrzymując zastaw na podstawie przedawnienia także i wtedy, gdy w końcu XV w. Węgrzy chcieli go wykupić. Do polskiego Spisza należały w całości okręgi Lubowli, Gwiazdy i Podolińca, a poza tym jeszcze 13 dalszych miast spiskich. Węgierska strefa Spisza obejmowała m. inn. Kezmerk i Lewoczę. Cały jednak teren Spisza stanowił teren ekspansji wpływów polskich, promieniejących z Krakowa. Północna Orawa uchodziła natomiast za kraj węgierski, mimo że za Kazimierza Wielkiego polska komora celna mieściła się jeszcze w Jabłonce orawskiej. W ciągu XV i XVI w. gubernatorami (komesami) Orawy z ramienia królów węgierskich byli jednak niemal bez przerwy magnaci polscy i oni ułatwili dostęp do dotychczas bezludnych puszcz orawskich ludności polskiej, napływającej z sąsiedniego Podhala nowotarskiego i żywieckiego. Wreszcie okręg czadecki stanowił pierwotnie część księstwa cieszyńskiego, oderwanego od macierzy nadolzańskiej w ciągu XVII wieku.

Nie jest pozbawiony znaczenia fakt, że o istnieniu Polaków na Węgrzech zakomunikowała światu słowiańskiemu najpierw nauka czeska i słowacka; należy z całym szacunkiem podkreślić obiektywizm Szembery, Polivki, Niederlego i inn., którzy wyodrębnili polski teren etnograficzny od słowackiego, nie popełniając żadnych pomyłek, a nawet stwierdzając, że niektóre strefy słowackie stanowią obszar świeżo zdobyty na polszczyźnie. Za Czechami i Słowakami zainteresowali się polskim ludem na Spiszu i Orawie uczeni polscy. W ostatnich latach przed wybuchem wojny światowej zaczął się zresztą proces odzyskiwania świadomości narodowej przez polskich Spiszaków i Orawców, do czego niemało przyczyniło się spiskie koło Towarzystwa Szkoły Ludowej pod przewodnictwem ś. p. Juliana Teisseyre'go.

W listopadzie 1918 r. młody działacz polski na Orawie, ks. Ferdynand Machay, powołał do życia w Jabłonce polską Radę Narodową, która w podniosłym nastroju proklamowała połączenie się z Polską; oddziały wojsk polskich były owacyjnie witane przez górali orawskich. Nieco później Rada Narodowa powstała i w Lubowli na Spiszu. Także i Niemcy kezmarscy opowiedzieli się za przyłączeniem do Polski. Niestety, w styczniu 1919 r. rząd polski nakazał wycofanie wszystkich oddziałów polskich, znajdujących się już na Spiszu i Orawie, a stało się to na skutek nacisku urobionej przez Czechów wojskowej misji aliantów w Budapeszcie. W ostatnim czasie ks. F. Machay i b. wojewoda Lasocki ogłosili w prasie polskiej ciekawe przyczynki, wyjaśniające różne okoliczności, związane z tym smutnym odwrotem. Zresztą, jak wiadomo, w tym samym czasie dokonała się inwazja czeska także i na Śląsku Cieszyńskim.

Delegacja spisko-orawska udała się do Paryża; w skład jej wchodzili ks. Ferdynand Machay, gazda Piotr Borowy z Robczycy na Orawie i gazda Wojciech Halczyn z Lendaku na Spiszu. Rezultatem tej misji było zarządzenie plebiscytu w dwóch powiatach Orawy i w jednym zaledwie powiecie Spisza, gdzie sprawy polskie stały zresztą najgorzej. Wiemy jednak, że i na tym obszarze, stanowiącym tylko połowę „czwartego zaboru", nie doszło do plebiscytu. Decyzja z dn. 27 lipca 1920 r. przyznała Polsce tylko skrawki terytorium plebiscytowego: na Orawie 15 wsi, liczących około 17 tys. mieszkańców, na Spiszu 13 wsi i około 8 tys. mieszkańców. Co najmniej 100 tys. ludności polskiej pozostało w Czechosłowacji.

Jak na ironię, na obszarze odciętym od Polski znalazły się Rabczyca i Lendak, wsie rodzinne nieugiętych delegatów, którym Wilson przyrzekł spełnienie ich żądań. O okolicznościach, w jakich „Rada Najwyższa" wykreśliła granice na Spiszu i Orawie, świadczy fakt, że Czechosłowacji przyznano cały obszar Tatr, leżący w obrębie terytorium plebiscytowego, a także Pieniny po prawym brzegu Dunajca i południowe zbocza Babiej Góry i Pilska. Z kompleksów leśnych, 7 uzdrowisk i kąpielisk Spisza i Orawy nie przyznano Polsce niczego. Linię graniczną wytyczono tak, aby Czechosłowacja otrzymała wszystko, co tylko posiadało jakąkolwiek wartość.

Dyplomacja polska dla ratowania sytuacji usiłowała uzyskać przynajmniej wymianę kilku gmin Spisza i Orawy na obszar Jaworzyny Spiskiej, obejmujący północną stronę Tatr Wysokich od Rysów po Koperszady; ale i ten spór Polska przegrała, mimo że przez odcięcie Jaworzyny od terytorium przyznanego Polsce, ludność szeregu gmin utraciła dostęp do własnych pa-

stwisk, położonych na halach tatrzańskich. Przebieg sporu o Jaworzynę pouczał, że Polska musi przegrać każdy spór z Czechosłowacją, nawet tam, gdzie słuszność argumentów polskich jest uderzająca.

Nic dziwnego, że obecnie sprawa Spisza i Orawy stała się znowu aktualna. Moment rewizji postanowień z r. 1920 w tej sprawie zbiega się z momentem uzyskania samodzielnego bytu przez naród słowacki. Jasną jest jednak rzeczą, że podniesienie sprawy Spisza i Orawy przez Polskę nie kieruje się przeciwko naszym braciom Słowakom, do których zwracamy się z całą serdecznością, aby na tym odcinku uczynili zadość sprawiedliwości. Jest bowiem równie jasną rzeczą, że Słowacy, którzy dotąd sami byli tylko przedmiotem polityki międzynarodowej, nie są w niczym współodpowiedzialni za wytworzenie krzywdzącego Polskę stanu rzeczy.

Wychodząc też z założenia, że rewindykacje polskie na Spiszu i Orawie kierują się przeciwko Czechosłowacji, ale nie przeciwko Słowakom, reprezentacja ludności polskiej tych krajów wyznacza obszar polski (ogółem około 2400 km²) z całym obiektywizmem tak, aby nie wcielać do Polski najmniejszych skrawków obszaru etnograficznego Słowaków.

Dlatego też w okręgu czadeckim reprezentacja polska żąda stanowczo tylko wschodniej części tego okręgu, na której dotychczas niespornie panuje język polski, z węzłem kolejowym w Świerczynowcu na linii kolejowej, łączącej Jabłonków przez Zwardoń z Żywiecczyzną; losy miasta Czacy i zachodniej części tegoż okręgu z ludnością wprawdzie polską, ale już w pewnym stopniu zesłowaczoną, powierzyć by należało w drodze samookreślenia ich mieszkańcom. Podobnie na Orawie, żądamy tylko dwóch stref czysto-polskich: zachodniej w dorzeczu Białej Orawy, z głównym centrum w Klinie Zakamiennym, oraz z letniskiem Półhora, połączonym dobrym gościńcem z Żywiecczyzną; oraz wschodniej dokoła stacji kolejowej Suchagóra (Suchahora), obejmującej także i skrawek Tatr Zachodnich dokoła Orawicy. Natomiast zrezygnowaliśmy z żądania słowackich stref powiatów namiestowskiego i trzciańskiego, mimo że stanowiły one część terytorium plebiscytowego w r. 1920 i mimo że wtedy znaczna część ludności słowackiej była zdecydowana głosować na rzecz Polski.

Najcenniejszym pod każdym względem jest polski obszar Spisza, obejmujący niemal w całości trzy powiaty, tj. starowiejski, lubowelski i kezmarski. Poza Polakami spotykamy tu jeszcze wciskające się między Poprad i Dunajec wsi łemkowskie, których mieszkańcy używają zresztą gwary polsko-góralskiej i tylko wyznaniowo odcinają się od górali polskich. Południowa część powiatów lubowelskiego i kezmarskiego stanowi dawny obszar językowy niemiecki, dzisiaj już w 50% polski, dzięki naciskowi ludności polskiej, posiadającej dużą rozrodczość w przeciwieństwie do cofających się Niemców (analogicznie i reszta dawnej niemieckiej enklawy językowej na Spiszu w powiatach popradzkim, nowowiejskim i lewockim została w 50% opanowana przez Słowaków). Kilka zaś słowackich, lub niemiecko-słowackich gmin pow. kezmarskiego Polacy spiscy skłonni są odstąpić Słowaczyźnie.

Samo miasto Kezmark (ok. 10 tys. mieszkańców), ongiś czysto-niemieckie, jest dziś w połowie polskie; ludność polska posiada tam wiceburmistrza, wybranego zresztą z ramienia stronnictwa agrarnego b. premiera Hodży. Także i Niemcy kezmarscy, podobnie jak w latach 1918—20, ciążą silnie do Polski, zwłaszcza że Kezmark jest stolicą gospodarczą polskiego Spisza, a odcięty od niego, byłby skazany na zupełny upadek.

Dodajmy wreszcie, że przyłączenie powiatu lubowelskiego do Polski pociągnie za sobą konieczność wcielenia do Rzplitej także i kilku gmin łemkowskich nad Popradem, które należą do żupy szaryskiej, a przez które przechodzi gościniec, łączący Lubowlę z Muszyną.

Niezmierne wartości Spisza polskiego znane są dobrze turystom polskim. To cuda Tatr Wysokich i Bielskich i przepych letnisk powiatu kezmerskiego (wśród nich znajduje się i Łomnica Tatrzańska). To Czerwony Klasztor w Pieninach. To termy w Drużbokach, dziś „uzdrowisko milionerów", a ongiś w XVI i XVII w. wielka i słynna miejscowość kąpielowa dawnej Polski. To zamek w Lubowli, w którym Jerzy Lubomirski przyjmował Jana Kazimierza, jak to opisał Sienkiewicz w „Potopie". To wspaniałe zabytki Kezmarku, Lubicy, Podolińca i wielu, wielu innych miejscowości.

Ale największym skarbem Spisza i Orawy jest „honorny" lud góralski. Wspaniały polski lud! On utrzymał w swych rękach Tatry i Podtatrze przez całe wieki, a obecnie chce je wnieść jako wiano do wielkiej Ojczyzny. Rząd Rzplitej musi w całej rozległości poprzeć te dążenia.

Zbigniew Domaniewski

Francja na rozdrożu

Paryż, w październiku

Monachium przyniosło Francuzom dwa wielkie wydarzenia polityczne, wywołujące biegunowo przeciwne reakcje. Uniknięto nieobliczalnej w możliwych dla materialnego bogactwa Francji skutkach wojny, czyli, jak to się przyjęło mówić, uratowano pokój. Było to wydarzenie radosne. Równocześnie jednak zadano śmiertelny cios pokojowi, zawartemu poprzednio w Wersalu. A pokój ten, nie tylko jako akt zakończenia najcięższej jaką Francja dotąd przeżyła wojny, lecz również jako wyraz zajętego przez nią w Europie stanowiska, był Francuzom niemniej drogi niż chwalony dziś na każdym rogu ulicy i na każdym świstku papieru pokój monachijski! Koniec tamtego pokoju gorzko się we Francji opłakuje.

Cień melancholii błąka się w duszy każdego Francuza, który uda się do wspaniałych ogrodów i pałacu w Wersalu. Pałac prawie pusty — włodarze Wielkiej Rewolucji sprzedali bezcenne ruchome urządzenie wnętrza — lecz nie brak pięknego w formie, skromnego w rozmiarach i bogatego we wspomnienia stołu, na którym 28 czerwca 1919 r. podpisano w Galerii Lustrzanej traktat pokoju. Stoi dziś ten historyczny stół jak wyrzut sumienia; za bliski jeszcze dzień, w którym ten traktat do końca rozdarto, aby refleksje mogły być pozbawione goryczy. Lecz nie powinny one w swych retrospektywnych rzutach kończyć się na roku 1919, ani nawet na smutnym roku 1871, kiedy to w tejże Wielkiej Galerii król Prus koronował się na cesarza Niemiec. Pałac w Wersalu, ofiarowany przez Ludwika-Filipa narodowi i poświęcony jako muzeum „wszystkim chwałom Francji", jest przede wszystkim pomnikiem politycznej wielkości Francji XVII stulecia.

*

W roku 1624 Ludwik XIII położył dwa rodzaje fundamentów. Jeden — to fundamenty położone w Wersalu pod pałac myśliwski, który za Ludwika XIV rozrósł się do tych wspaniałych rozmiarów, które dziś podziwiamy. Drugi rodzaj podstaw zaczął Ludwik XIII kłaść w Paryżu z dniem przywrócenia do królewskich łask i zaufania Richeliego. Dwie wielkie budowle rozpoczęto tego roku we Francji! Jedna dała początek przyszłej siedzibie, druga politycznej wielkości monarchii francuskiej.

Rola Ludwika XIII w kierowaniu polityką była mała i zarazem olbrzymia. Była mała, gdyż król dał kierować losami państwa zaufanemu pierwszemu ministrowi. Była olbrzymia — gdyż jest wielką rzeczą, jest czynem głębokiej intuicji umieć rozpoznać w otoczeniu człowieka wielkiego ducha i umysłu, potem nie dać tłumom intrygantów zachwiać zaufaniem do niego i naodwrót, to zaufanie z biegiem lat uczynić nieograniczo-

nym. Dzięki tej niepospolitej intuicji monarchy, znakomity Richelieu, kiedy w roku 1624 zajął poraz drugi stanowisko pierwszego ministra, rozporządzał po niedługim czasie olbrzymim kapitałem moralnym: swobodą i możnością ciągłości działania, kapitałem nieodzownym w każdej polityce.

Ten kapitał ministra — kardynała uzupełnił się i wielokrotnie powiększył przez pierwsze, obfite odsetki, jakie dał szybko na polu polityki wewnętrznej. W łonie narodu francuskiego zastał Richelieu blok protestancki, który, dzięki edyktowi nantejskiemu z r. 1598, tworzył klasę uprzywilejowaną w dziedzinie życia politycznego. Hugonoci dążyli wręcz do utworzenia państwa w państwie i w tym celu szukali oparcia w Karolu I królu Anglii, lecz nie dlatego, żeby miał on być bezinteresownym protektorem religii protestanckiej, tylko dlatego, że był on wrogiem Francji, a jego minister Buckingham osobistym przeciwnikiem Richeliego. Hugonoci byli więc typową obcą agenturą, którą minister - kardynał zlikwidował radykalnie przez oblężenie i wzięcie ich głównej warowni — Rochelli. Warto przypomnieć, że dla Richeliego sprawa radykalnej, bezkompromisowej likwidacji tej agentury była taką nieodzowną koniecznością, że nie wahał się on dla tego narazić Francji na wojnę z Anglią.

Likwidując we Francji hugonotów jako czynnik polityczny, Richelieu nie popełnił dwu łatwych błędów. Nie prześladował religii, nie prześladował innymi słowy ideologii, natomiast zrobił wszystko, żeby uczynić z hugonotów pełnych Francuzów, aby w nich rozbudzić prawdziwych patriotów. Na polu polityki zagranicznej on, książe kościoła, był dość wielki, by nie dać się unieść parciu stronnictwa królowej — matki, które chciało przenieść wewnętrzną walkę z herezją na teren międzynarodowy, czyniąc ze sprawy narodowej i politycznej ideologiczną. Naodwrót, Richelieu w swej polityce w stosunku do Niemiec popiera protestantyzm, a jeśli podtrzymywał niemieckich książąt katolickich, to nie z pobudek religijnych, tylko z obawy, że pod wpływem zbytniego wzrostu sił politycznych protestantyzmu, tym bardziej zbliżą się do siebie gałęzie Habsburgów, austriacka i hiszpańska. Przeciwko temu zbliżeniu walczył właśnie całe życie, widząc w nim sojusz dwóch najpotężniejszych sąsiadów Francji, których ostatecznie zdołał rozdzielić. Nawiązując do ściśle narodowej polityki Henryka IV, przyznając pierwszeństwo polityce przed ideologią, Richelieu mógł dać swemu narodowi wielkość, jakiej naród ten dotychczas nie znał, Ludwikowi XIV przygotować dziedzictwo, jakiego nie otrzymał dotąd żaden król Francji.

Wspaniały gmach Francji Króla — Słońca nie wyrósł oczywiście na tych tylko ściśle politycznych podstawach. Richelieu, potem jego następca i kontynuator Mazarini, oraz minister finansów Colbert, kładli również fundamenty gospodarcze. Za ich rządów Francja zaczęła budować imperium zamorskie, powiększyła swą flotę wojenną i handlową, uporządkowała finanse. Colbert potrafił, zresztą tylko do czasu, hamować rozrzutność Króla-Słońca. Wyznawca merkantylizmu rozwinął również przemysł. Wszystko to, prawda, działo się za cenę rosnących stale podatków; Colbert przygotował w ten sposób pośrednio grunt dla przyszłej rewolucji. Ale zarazem złożył potomności dowód, że polityczna wielkość narodu nie da się osiągnąć inaczej, jak na gruncie daleko idącego poświęcenia dobra indywidualnego dla potrzeb państwa. Zresztą, gdyby Ludwik XIV w swej dumnej, powodowanej często pychą polityce zagranicznej nie był przeciągnął struny, gdyby polityka gospodarcza Colberta i jego rady z zakresu polityki zagranicznej były przyjęte przez króla, to nie wiadomo, czy Francja przeżyłaby depresję gospodarczą czasów Ludwika XVI. Tak, czy inaczej, za Ludwików XIII i XIV państwo francuskie miało w swej polityce zagranicznej mocną i pewną podstawę gospodarczą. Miało również podstawę biologiczną i duchową, bo Francja w stuleciu swej hegemonii była najludniejszym krajem Europy, a naród w toku walk religijnych i wojen nie zużył się psychicznie, tylko naodwrót, nabrał rozmachu, wypełnił go duch heroizmu i zamiłowanie do wielkich czynów, co tworzyło falę, po której łatwo było sterować nawą państwową kursem polityki wielkomocarstwowej. Przy tym Francja sprawowała hegemonię europejską wtedy, kiedy to raz Anglia była rozdarta walkami rewolucyjnymi, to znów Niemcy, po wojnie trzydziestoletniej, były wykreślone z rzędu międzynarodowych czynników politycznych.

* * *

Takie historyczne refleksje są zawsze pomocą dla oceny współczesnych zagadnień. Dają też one świetną perspektywę dla oceny znaczenia przełomowej chwili, w jakiej Francja dziś się znajduje.

„Nie mamy przywódców" wołano bezpośrednio po układzie w Monachium. Oczywiście, Francja ma aż nadto przywódców partyjnych, ale brak jej męża stanu na miarę Richeliego, Mazarini'ego czy Colberta. Ostatnie wydarzenia dowiodły jak nietwórcza, jak chaotyczna i małostkowa jest polityka francuska, jak jest przy tym mało bystra i elastyczna, dowodząc, że nie jest w żadnym razie wyrazem wrodzonych talentów narodowych, nie jest tym polem działalności, na którym ujawnia się wysoka nuta umysłowa narodu francuskiego. Naodwrót, polityka jest obecnie dziedziną najmniejszego nasilenia francuskiego geniuszu narodowego.

Niedawno padło hasło rozwiązania Parlamentu i dokonania nowych wyborów. „Zaczyna się rodzić nowa Europa — powinna się wyłonić nowa Francja. Chodzi teraz o to, żeby wiedzieć, czy obecna Izba zdolna jest to zrozumieć, czy jest zdolna stanąć na wysokości wydarzeń" — pisał jeden z najpoważniejszych dzienników. Lecz chodzi również i o to, żeby wybory przyniosły istotne zmiany, to znaczy, żeby nie oznaczały nowego przetasowania i rozdania starych kart, czyli dzisiejszych ludzi z Palais Bourbon, przede wszystkim ich dzisiejszych przywódców. Francja potrzebuje nowych ludzi, a tego nie da jej przesunięcie punktu ciężkości z jednej na drugą stronę partyjnego wachlarza, co bywa zwykle jedynym rezultatem nowych wyborów w tym społeczeństwie, w którym polityka stała się przywilejem ograniczonej liczebnie i niezmiennej personalnie kasty. A przy tym, nawet zakładając, że to przesunięcie wprowadzi na widownię życia parę nowych talentów, które dotychczas znajdowały się w ukryciu, czyż można założyć, że ci ludzie, zjawiając się w Parlamencie i potem w łonie gabinetu, będą mogli swobodnie i trwale rządzić krajem? Czyż można oczekiwać, że w kraju, w którym od roku 1871 do roku 1938 to znaczy w ciągu 67 lat było ponad 100 przesileń gabinetowych, co wynikło ze stopniowej degeneracji parlamentaryzmu w partyjnictwo, nastąpi pod tym względem radykalna zmiana poprostu w następstwie nowych wyborów? Niewątpliwie nowe wybory same z siebie takiego rezultatu nie wydadzą. Na to potrzebna jest gruntowna sanacja stosunków politycznych, która zarówno musi polegać na pewnych korektywach ustrojowych jak i na głębokiej przemianie psychiki politycznej społeczeństwa i zmianie zwyczajów życia politycznego. Może nie mają racji ci, co twierdzą, że albo społeczeństwo samo się przekształci, albo też uczyni to przemocą dyktator, który w takim razie będzie musiał się zjawić. Ale napewno mają rację ci, co twierdzą, że nowe tasowanie wyborcze do niczego pozytywnego nie doprowadzi, gdyż dla Francji „nie tędy droga".

Idąc po linii refleksji historycznych, napotykamy dalej na fakt, że Francja, której brak ludzi na miarę Richeliego, ma natomiast nowoczesnych hugonotów. Szukają oni jak protestanci francuscy w XVII stuleciu w swych politycznych poczynaniach na terenie Francji inspiracji i oparcia w międzynarodowych organizacjach i obcym mocarstwie, a są to nie tylko komuniści, lecz i kompani ich na terenie socjalistycznym i syndykalnym. Dziełem tych to nowoczesnych hugonotów było sparaliżowanie swobody ruchów Francji w polityce międzynarodowej i uniemożliwienie dyplomacji wyjścia poza zakres montowania „bloku wielkich demokracyj", co stało się zresztą w istocie rzeczy montowaniem frontu antyfaszystowskiego.. Polityka ideałów II i III Międzynarodówki, dobrowolnie przyjęta przez jeden rząd frontu ludowego, innym narzucona, zniszczyła dyplomację francuską jako czynnik polityki międzynarodowej, sprawiła, że taki np. fakt, jak mianowanie ambasadora Francji w Rzymie, przyjęty zostaje przez rząd włoski jako posunięcie na-

razie pozbawione jakiejkolwiek treści. Zaniedbanie zasady Richeliego: kryteria narodowe przed ideologią w polityce zagranicznej, spowodowało również, że to, czemu zdołał zapobiedz wielki minister Ludwika XIII: współdziałanie dwóch największych kontynentalnych sąsiadów Francji, dokonało się w nowoczesnej postaci za ideologicznych rządów frontu ludowego: powstanie bloku niemiecko-włoskiego; bloku państw zbliżonych wspólnotą ideologii i osobistą przyjaźnią wodzów, jak trzysta lat temu łączyły austriackich i hiszpańskich Habsburgów więzy rodzinne i wspólnota religii. Polityka zagraniczna, rozpoczęta przez Bluma oświadczeniem jego o kryzysie abisyńskim zaraz po wyborach w maju 1936: „przychodzimy za późno", a kontynuowana w obawie przed skrajną lewicą przez rządy Chautempsa i Daladiera, polityka, która nie zdobyła się na całkowitą nieinterwencję w Hiszpanii, ani też na interwencję w kryzysie czechosłowackim, polityka, która ze względów ideologicznych zerwała z Rzymem, lecz nie śmiała mu się przeciwstawić twardo i skutecznie — która stworzyła główne powody powstania i scementowania bloku włosko-niemieckiego, musi się oczywiście skończyć, jeśli Francja chce odgrywać pozytywną rolę w polityce międzynarodowej. A jest to niemożliwe, jeśli nadal trwa fakt penetracji komunizmu — agentury obcego mocarstwa i jej wpływ na francuską politykę zagraniczną, największe polityczne passywum Francji. Leon Blum pisał przecież 7 października w „Le Populaire": „myślę, że gdyby rozwiązanie Izby wydało się jako skierowane przeciwko socjalizmowi i miałoby tendencję do stworzenia bloku antysocjalistycznego, to nasza partia zmuszona byłaby rozważyć najbardziej na serio propozycje, uczynione jej przez komunistów", a następnego dnia wywodził, że „chodzi o to, aby paktowi francusko-sowieckiemu nadać pełną moc, pełną skuteczność. Dlaczego?.. Konieczne jest utrzymanie maksymum spójności między wszystkimi mocarstwami, zbliżonymi dotychczas przez wspólną, lub co najmniej analogiczną koncepcję stosunków międzynarodowych". Czyli innymi słowy oscylowanie w kierunku Moskwy największego we Francji stronnictwa parlamentarnego, zarówno w polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej. Groźba dla Francji niemniej wielka niż w XVII stuleciu Rochella, groźba, którą Francja musi zlikwidować.

Idźmy jednak dalej. — Richelieu, który tak rozumnie i twórczo potrafił rozwiązać sprawę hugonotów, mógł umierając powiedzieć do Ludwika XIII: „żegnając się z Waszą Wysokością, mam pociechę zostawiając królestwo na najwyższym stopniu chwały i znaczenia, na jakim tylko się znajdowało". Otóż przypominając to nie można zapominać, że ludność Francji w połowie XVII stulecia stanowiła 20% ludności Europy, że Francja ludnościowo zajmowała wówczas w Europie podobne stanowisko, jakie zajęły Niemcy po przyłączeniu Austrii i Sudetów, a natomiast dziś ludność Francji stanowi zaledwie 8% ludności europejskiej. Z punktu widzenia przyszłości dzisiejsza sytuacja ludnościowa Francji w Europie da się porównać do jednostronnego rozbrojenia: w Niemczech, u najpotężniejszego kontynentalnego sąsiada, renesans rozrodczości, zahamowanie procesu, grożącego wyludnieniem, natomiast we Francji coraz większe oddalanie się od źródeł zachowania życia. Można jeszcze posłużyć się świetnym porównaniem, względnie prognozą, jaką czyni Prévost — Paradol w „La France Nouvelle": „Jeśli nie nastąpi w najbliższej przyszłości polityczny i moralny przewrót, jeśli nasza początkowo związana z rodzinną ziemią ludność nadal będzie się mnożyć z niesłychaną powolnością, czy też trwać w stagnacji lub wręcz maleć, to zajmiemy w stosunku do świata anglosaskiego takież stanowisko, jakie niegdyś Ateny zajmowały w stosunku do świata rzymskiego". Opinia ta, wyrażająca ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem przymusowej abdykacji Francji ze stanowiska jednego z największych mocarstw świata, oparta jest na suchych, lecz niemniej potężnych w swym wyrazie obrachunkach Urzędu Statystycznego. Wynika z nich, że ludność Francji przy nadal trwającym spadku stopy urodzeń musi zmaleć w ciągu najbliższych czterdziestu kilku lat o 12 milionów, czyli zmniejszyć się o jedną trzecią. Wtedy, chcąc utrzymać już tylko swe obecne materialne znaczenie w świecie, Francja będzie musiała, albo zaludnić Południe ludnością z Afryki i Francuzów skoncentrować na Północy, albo też rozpocząć kolonizację całego kraju przy pomocy imigrantów z innych krajów europejskich.

Gdyby jednak tylko o ludnościowe rozbrojenie chodziło! Kiedy panowali Ludwik XIII i XIV wówczas to jedno, to znów drugie mocarstwo europejskie, obalane wstrząsami wewnętrznymi, schodziło z międzynarodowego horyzontu wielkiej polityki. Mimo to jednak, ówczesna pozycja polityczna Francji nie dała się osiągnąć inaczej, jak przez wyciśnięcie z narodu wszystkich jego sił gospodarczych. A dziś? Kiedy u granic Francji dwa mocarstwa weszły w okres niebywałego rozkwitu siły mocarstwowej, kiedy liczą razem trzy razy więcej ludności niż ona, — kiedy więc zachowanie równorzędnego stanowiska mocarstwowego wymagałoby od Francji tym bardziej skupienia maksymum sił ku wzmożeniu potencjału gospodarczego, Francja weszła na drogę zamaskowanej socjalnej i gospodarczej rewolucji, która z natury swojej musi ten potencjał osłabić. Dalecy oczywiście jesteśmy od krytykowania reform w tym pod wieloma względami zacofanym kraju; nie chodzi nam o samą rzecz, tylko o moment dziejowy, w którym ta rzecz się dokonywuje. „Nie uratujemy pokoju, jeśli nasza produkcja nie umożliwi nam rozmawiania z otaczającymi nas narodami na stopie równości" — wołał niedawno z trybuny parlamentarnej premier Daladier, a wołał dlatego, że i tu Francja weszła na drogę jednostronnego rozbrojenia. Zakładając produkcję przemysłową roku wielkiej koniunktury 1928 równą 100, otrzymujemy następujące wskaźniki produkcji dla roku dna kryzysu 1932 i roku 1937: Niemcy 54 i 119, Włochy 73 i 109, natomiast Francja 76 i zaledwie 81. W Niemczech i we Włoszech wzrost o 65 i 36 jednostek, we Francji tylko o 5!

Przeprowadzając nasze historyczne analogie, zeszliśmy na grunt porównań życiowych elementów politycznej mocy dzisiejszej Francji i Niemiec. Doszliśmy tym samym do najbardziej zasadniczego momentu zagadnienia europejskiej pozycji mocarstwowej Francji. Z wszystkich tych porównań wyłania się fakt, że Niemcy posiadają dziś te wszystkie warunki życiowe i polityczne, które w XVII stuleciu dały hegemonię europejską Francji. Mają za wodza jednego z największych współczesnych mężów stanu. Mają system rządów, w którym kierownik polityki ma zapewnioną całkowitą swobodę i ciągłość działania. Zniszczyły u siebie elementy, wpływające na bieg polityki państwowej z myślą inną niż bezwzględne dobro państwa, osiągnęły całkowitą jedność wewnętrzną, pozwalającą im maksymalnie rozwinąć siły na zewnątrz. Rozbudziły w narodzie na nowo wolę do życia, stają się najludniejszym krajem Europy, bez zastrzeżeń i wahania wyciskają do ostateczności z narodu jego zasoby materialne na potrzeby państwa. Naród opanowany został przez mit wielkości, dla tej wielkości gotów jest zdobyć się na najdalej idące samozapomnienie. A tymczasem Francja nie mówi wcale o wielkości, tylko stwarza u siebie mit pokoju, nie oznaczającego w istocie nic innego ponad drobnostkowy „święty spokój". Zapatrzona w ten ideał kurczy się w każdej dziedzinie życia, zgnieciona przez wybujały egoizm jednostki.

Do niedawna Francja była zapatrzona w historyczny stolik z pałacu wersalskiego, na którym podpisano traktat pokoju. Jednak nie tylko Francja wywalczyła ten pokój, a z chwilą, gdy tego pokoju przyszło jej samotnie przed Niemcami bronić, to nawet myśleć o tym nie mogła. Francja znalazła się dziś w sytuacji, która przypomina początek bieżącego stulecia z dokonywującym się wtedy wzrostem Niemiec. Francja staje na rozdrożu. Albo będzie, na myśl o koszmarnym roku 1871, próbowała montować jakąś nową koalicję, nowe „bezpieczeństwo zbiorowe", albo zdobędzie się na przełom polityczny i moralny, który odbuduje jej dziejową potęgę. Wtedy zaś w pełni znaczenia tych słów będzie musiała „wyłonić się nowa Francja".

Jan Reychman

Ewolucja słowackiej myśli politycznej

I

Korzenie, w których tkwi słowacka myśl polityczna, są równie stare jak świadomość narodowa narodu słowackiego. Ba, co więcej, korzenie te wiążą się swoją genezą z zaczątkami tej świadomości. U jej kołyski stał już na początku XIX wieku spór orientacji językowej czeskiej z orientacją słowacką, katolicką, opierającą się wtedy o t. zw. dialekt trnawski. Spór ten przerwało wkroczenie na widownię Sztura i towarzyszy, którzy, przyjąwszy za język literacki narzecze środkowo - słowackie, zdołali zgromadzić pod jego znakiem większość Słowaków. Niemniej rekryminacje obozu czechofilskiego za dokonany „rozkol" są genezą późniejszego obozu „czeskosłowackiego", tak jak Bernolak ze swym narzeczem trnawskim uważany jest za jednego z twórców katolickiej myśli słowackiej, a Sztur, Hurban i nn. za przedstawicieli orientacji środkowej, luterańskiej, świętomarcińskiej.

Przyjęcie własnego języka literackiego pociągnęło za sobą formułowanie słowackich postulatów politycznych, wyrażanych pierw przez Sztura w czasie jego posłowania ze Zwolenia w sejmie węgierskim (1847), potem na zgromadzeniach narodowych, gdzie układano „žiadosti" (żądania) przekładane następnie cesarzowi. W „žiadostiach" ze Św. Mikułasza (10 maja 1848) żądano utworzenia ogólnowęgierskiego parlamentu, w którym każdy poseł mógłby przemawiać w swoim języku, sejmików prowincjonalnych dla poszczególnych narodowości, prawa używania języka słowackiego we wszystkich urzędach, szkolnictwa słowackiego wraz z uniwersytetem, słowackiej gwardii narodowej ze słowacką komendą. Gdy skutkiem ówczesnej krótkowzrocznej polityki madziarskiej żądania te nie znalazły zrozumienia w Budapeszcie, poparli je Słowacy z bronią w ręku.

Powstanie słowackie w 1848 r. miało dla rozwoju słowackiej myśli politycznej ważne znaczenie. Przeciw rewolucyjnym Węgrom Kossutha Słowacy szukali sprzymierzeńca w cesarskim Wiedniu. Wpłynęło to na słabo podkreślone momenty społeczne w rewolucji słowackiej, na pewien odstęp od demokratycznych idei głoszonych przez Sztura na sejmie. Tak w fakcie wysłania przez Słowaków deputacji do cesarza, jak i braterstwie broni z dławiącymi powstanie węgierskie wojskami Paskiewicza tkwią zalążki późniejszych orientacyj: na Wiedeń i na Moskwę; ta ostatnia orientacja o podłożu panslawistycznym wyraża się już w udziale w kongresie praskim i w niektórych pracach L. Sztura („Słowiaństwo i świat przyszłości")

II

Ta elita ludzi, która ujęła w 1848 roku ster słowackiego życia politycznego w ręce, elita o dużej przewadze luteran (w Słowacji zagadnienie wyznaniowe odgrywa dużą rolę, coś jak u nas w Cieszyńskim; można by na ten temat przeprowadzić niezłą paralelę), zachowała go i w latach następnych, gdyż żywioł słowacki, po zduszeniu powstania węgierskiego korzystał z niewielkiego zresztą uprzywilejowania. Przełom w życiu Austrii po wojnie włoskiej (1860) zmusił znów Słowaków do jakiegoś działania. Węgry domagają się „restitutio ad integrum", to jest powrotu do dualizmu. Wszystkie narody Austrii domagały się swoich praw. I Słowacy na swoim zgromadzeniu w Turczańskim Św. Marcinie (1861) ogłosili „memorandum", domagające się uznania ustawowego odrębności narodowej słowackiej, utworzenia z obszarów zamieszkałych przez ludność słowacką tak zwanego „Slovenskeho Okolia", odrębnej jednostki administracyjnej, w której granicach obowiązywałby język słowacki i byłaby słowacka administracja, słowackie szkoły i sądy. To były podstawy politycznych dezyderatów słowackich, formułowanych przez polityków „świętomarcińskich" głównie na łamach czołowego ich ówczesnego pisma „Pestbudinskych Vedomosti".

Realizacja tych dążeń wymagała pewnego punktu oparcia. Politycy słowaccy znaleźli go znów w Wiedniu. Po odrzuceniu przez cesarza żądań węgierskich liczyli na poparcie ich dążeń przez dwór. Był to niewątpliwie błąd polityczny. Poparcie udzielone przez Schmerlinga Słowakom nie mogło obejmować uznania przez Wiedeń żądań słowackich, gdyż przekraczały one koncepcje ustrojowe austriackie, narażało zato Słowaków na nieufność ze strony Węgrów, obawiających się słowackich dążeń odśrodkowych (odrębność „Okolia") i niemile widzących wciąż przy sterze polityki słowackiej ludzi o orientacji silnie antywęgierskiej (Daxner, Francisci, Paulinyi - Toth). Ze strony Schmerlinga była to gra obliczona na zaszachowanie Węgrów.

Nie wszyscy Słowacy myśleli wówczas kategoriami Świętego Marcina. Byli tacy, którzy doceniali niebezpieczeństwo wiązania się w śliskiej grze z dworem austriackim, ulegania panslawistycznym koncepcjom i odcinania sobie wszelkiej na przyszłość drogi porozumienia z Madziarami. Partia świętomarcińska zrażała jeszcze sobie wielu Słowaków konserwatyzmem i brakiem momentów społecznych. Wreszcie do malkontentów należeli i uważali się jeszcze wówczas za Słowaków przedstawiciele słowackiej szlachty, obawiającej się terminu „Slovenske Okolie", działającego na Węgrów jak czerwona płachta na byka. Wszystkie te żywioły skupiły się w opozycji do „Pestbudinskych Vedomosti" przy „Slovenskych Novinach". Był tam ks. Palarik, doskonały pisarz i publicysta, Bobula, z zawodu budowniczy, jeden z najbardziej przedsiębiorczych działaczy słowackich, ks. Mally, paru przedstawicieli szlachty słowackiej jak Szentivanyi Smrecsanyi, Nemessany i in. Wespół z paroma zamożnymi Słowakami z Budapesztu (Zarzeckim, Pozdechem) utworzyli oni w r. 1868 t. zw. „Nową Szkołę", przezwaną od r. 1872 „Slovenska Strana Vyrovnania" (Słowackie Stronnictwo Ugody), stojącą na gruncie porozumienia z Węgrami na platformie przebudowy Węgier w państwo federalistyczne, oparte na demokracji i równości wszystkich narodowości. „Nowa Szkoła" toczyła teraz ostry bój ze Św. Marcinem to jest starą partią. Należy zaznaczyć, że „Nowa Szkoła" nie była grupą madziarońską, jakbyśmy w Polsce powiedzieli „gadzinową", nie pobierała żadnych zasiłków od Węgier; była to grupa patriotów słowackich, wiążących los swego narodu z losem monarchii Św. Stefana, grupa o myśleniu realnym, stawiająca wyżej pracę realną niż papierowe deklaracje, szukająca dróg samodzielnego politycznego myślenia.

III.

Tymczasem przyszło to czego się obawiała i przed czym przestrzegała „Nowa Szkoła", przyszło „Vyrovnanie" (Ugoda) ale nie węgiersko - słowacka ale austriacko - węgierska. Słowacy porzuceni przez Wiedeń wydani są na pastwę madziaryzacji stosowanej przez ówczesne rządy węgierskie. W wyniku tych metod węgierskich program „Nowej Szkoły" bankrutuje, „Slovenskie Noviny" Bobuli zlewają się w roku 1874 z „Narodniemi Novinami" (w dalszym ciągu „Pestbudinskych Vedomosti") nacisk administracyjny redukuje starania Słowaków do walki o język („Za tu nasu slovencinu") i pcha ich w objęcia panslawistycznych, rusofilskich marzeń, reprezentowanych przez Vajanskiego i całą „Narod-

ną Stranę" w okresie bierności politycznej aż do schyłku XIX w.

Schyłek ten przynosi w słowackim życiu politycznym nowe ożywienie. Bierność Turczańskiego Świętego Marcina budzić zaczyna opozycję wśród młodych. Opozycja ta, powstała z rozmaitych motywów, wspólna jest początkowo tak w krytyce „Narodnej Strany" (kierowanej wówczas przez Mudronia) jak i w realiźmie poglądów, w dążeniu do pracy od podstaw, pracy wśród ludu, pracy organicznej, gospodarczej, kulturalnej. Opozycja ta, grupująca się blisko zmarłego niedawno działacza P. Blaho rozdzieliła się potem na dwa przeciwne sobie kierunki: t. zw. „hlasizm", kierunek o orientacji „czechosłowackiej", wyznaniowo obojętny (było w nim dużo katolików jak Szrobar, Blaho i in.), ale dość liberalny, będący pod dużymi wpływami prof. Masaryka, skupiający się koło pisma „Hlas" potem koło „Prudów" (Szrobar, Markowicz, Derer), oraz kierunek aktywizmu katolickiego pod przywództwem Hlinki. Łączyła je wspólna krytyka Świętego Marcina, dzielił zaś ich światopogląd no i orientacja; Hlinka bynajmniej nie miał zamiaru orientacji na Moskwę zastępować przez orientację na Pragę.

Praca Hlinki koło aktywizacji mas ludowych słowackich rozpoczęła się w szeregach węgierskiego stronnictwa, które Słowakom obiecywało dużo swobód narodowych, to jest węgierskiej partii ludowej Zichyego, a gdy ugrupowanie to przestało mu odpowiadać, założył własną „Slovenską Ludową Stranę". Tym sposobem w pierwszym dziesiątku XX wieku były na terenie Słowacji następujące ośrodki myśli politycznej: stare stronnictwo narodowe ze Św. Marcina, po zgonie Mudronia kierowane przez Matusza Dulę z orientacją „panslawistyczną", hlasizm (Szrobar), partia ludowa ks. Hlinki, Jurigi, Tomanka etc., początki socjalizmu słowackiego (Lehocky), będącego pod wpływami „Hlasu", słowacka grupa w węgierskim stronnictwie ludowym, pozostała po odejściu ks. Hlinki (pismo „Krestan" redag. przez Szandorfiego), wreszcie zupełnie samodzielnie występował przedsiębiorczy dziennikarz i polityk Milan Hodża („Slovensky Tyždennik", potem „Slovensky Dennik"), szukający platformy do porozumienia to z arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem, to z Węgrami to z Pragą. Wszystko to były „ośrodki" a nie żadne partie; wobec węgierskiego systemu jednomandatowego i trudnych warunków wyborczych występowała zwykle tylko jedna partia; nawet „hlasiści" jak Szrobar występowali na liście „Slovenskiej Ludovej Strany".

Paweł Jasiński

Szklane domy i rzeczywistość

W jednym z ostatnich numerów wychodzącej w Warszawie „Codziennej Gazety Handlowej" znajduje się reportaż poświęcony opisowi świeżo wykończonego domu mieszkalnego przy ul. Wiejskiej. Po szczegółowym wyliczeniu wszelkich „luksusów", a tych nie brak istotnie, bo w wspaniałych łazienkach zainstalowano nawet specjalne elektryczne suszarki dla ręczników, znajdują się następujące uwagi ogólnej natury: „Chodzimy po mieszkaniach, oglądamy, podziwiając to dzieło nowoczesnej techniki. Dzieło, które dla ludzi, skołatanych szalonym tempem życia, stanie się już w najbliższym czasie azylem ciszy, wygody i niebywałego komfortu. Czyż dalecy jesteśmy od owej upragnionej przez wielkiego pisarza „epoki szklanych domów" pełnych słońca i szczęścia"?

Jeśli zestawimy sobie te więcej niż optymistyczne wywody z rzeczywistością, okaże się, że od nadmiernego optymizmu do cynizmu jest tylko jeden krok. Zajmijmy się mieszkaniami małymi, zamieszkałymi przez ludność pracującą fizycznie i proletariat umysłowy. Szklane domy dla nich miały być przecież przeznaczone... Między rokiem 1921 a 1931 przeciętne zaludnienie mieszkań 1-izbowych w miastach Polski wzrosło z 3,80 na 3,85. Odpowiednie cyfry dla stolicy wykazują tę samą tendencję w silniejszym jedynie stopniu. Odsetek ludności, zajmującej mieszkania jednoizbowe, wzrósł z 31,3% na 36,9% (w Łodzi z 52,0 na 58,6%!), przeciętne zaludnienie izby osiągnęło 4 osoby, podczas gdy na zachodzie Europy Londyn wykazuje w tej kategorii mieszkań 1,75 osób na izbę, Berlin 1,77, Bruksela 1,45. Podobne dysproporcje występują w zaludnieniu mieszkań dwuizbowych.

Społeczne znaczenie tych przeciętnych jest ogromne, jeśli zdamy sobie sprawę, że 65% ludności miejskiej w Polsce gnieździ się w podobnych warunkach i że 69% mieszkań należy do obu tych kategorii. (W Anglii 17,2%, w Niemczech 19,2%)). Punkt ciężkości naszej sytuacji mieszkaniowej, która na odcinku mieszkań robotniczych zasługuje na miano katastrofalnej, leży nietylko w suchych cyfrach i problemach, które za nimi się kryją, lecz również w jakości mieszkań, w nieprawdopodobnym ich zaniedbaniu, zniszczeniu i nieprzystosowaniu do najbardziej nawet prymitywnych wymogów higieny.*

Niezbyt mądra i zapewne w zapędzie reklamy powstała notatka „Codziennej Gazety Handlowej" nie zasługiwałaby na uwagę, gdyby nie to, że symbolizuje ona w wyjaskrawiony nieco sposób dziwną ignorancję opinii publicznej w zakresie naszej sytuacji mieszkaniowej. Stan ten wypływa zapewne z bezspornej poprawy warunków mieszkaniowych inteligencji, a więc tej grupy społecznej, która opinię publiczną przede wszystkim tworzy, oraz optycznie dostrzeganego rozwoju ruchu budowlanego w miastach w okresie ostatnich trzech lat. Jednakże kierunek budownictwa mieszkaniowego nie zaspakaja potrzeb najistotniejszych. Specjalna akcja budownictwa robotniczego w ramach T. O. R. dysponuje nieznacznymi, kilkunastomilionowymi kredytami rocznie. Poza tym buduje się mieszkania dla warstw co najmniej średnich. Charakterystycznym tego przejawem jest zestawienie podziału kredytu budowlanego, udzielanego przez Bank Gospodarstwa Krajowego:

Rok	Odsetek mieszkań finansowanych z państw. funduszu budowlanego	
	1 i 2 izbowych	3 i więcej izbowych
1932	68,2%	31,8%
1934	46,6%	53,4%
1936	41,8%	58,2%
1937	37,9%	62,1%

Cyfry powyższe wykazują wyraźne przesunięcie na korzyść mieszkań większych, przy czym należy zauważyć, że z mniejszych nieznaczną tylko część można podciągnąć pod miano mieszkań „społecznych" — robotniczych.

Powierzchowny nawet wgląd w ewolucję sytuacji mieszkaniowej nie upoważnia jak widać do optymizmu, a nawet, przeciwnie, w dobie wzmożonych procesów urbanizacyjnych napawa troską o zdrowie fizyczne i moralne młodych pokoleń robotniczych, którego w obecnych warunkach mieszkaniowych zapewnić nie podobna.

*) Dane wg. referatu J. Strzeleckiego, wygłoszonego na Pierwszym Polskim Kongresie Mieszkaniowym.

Wiktor Ormicki

RUCH NATURALNY LUDNOŚCI W POLSCE

Polityka ludnościowa Niemiec, Francji i Włoch*)

Analiza polityki ludnościowej w poszczególnych państwach wymagałaby osobnego studium. Tutaj zaś można przedstawić jedynie najistotniejsze cechy i podkreślić najważniejsze i najbardziej charakterystyczne poczynania. Szerzej rozwinięta zostanie niemiecka polityka populacyjna ze względu na polityczne konsekwencje, jakoteż z uwagi na jej rewolucyjność, niespotykaną dotąd śmiałość ujęcia i rygorystyczność w realizacji.

Początki niemieckiej polityki ludnościowej sięgają czasów cesarstwa. Okres powojenny zaznaczył się zaostrzeniem zagadnienia, a wskutek dojścia do władzy radykalniejszego kierunku politycznego bezwzględnością w przeprowadzaniu zamierzeń. Pozostawiając na uboczu przyczyny natury politycznej, które ułatwiły i umożliwiły tego rodzaju sytuację wewnętrzną, wystarczy stwierdzić, że ewolucja naturalnego ruchu ludności w Niemczech potoczyła się w okresie powojennym po linii katastrofalnego spadku liczby i stopy urodzeń. W latach 1900 — 1925 — 1933 obniżył się spółczynnik rodności z 35,7‰ do 25,8‰ i 14,7‰. Spadek urodzeń wytrącił dyplomacji niemieckiej jeden z najsilniejszych argumentów, jakimi szermowała, przedstawiając Niemcy jako „Volk ohne Raum". Niezależnie jednak od tego stanęli Niemcy na skutek załamania prężności populacyjnej wobec groźnej perspektywy niewystarczalności urodzeń dla podtrzymania swej liczebności. Skłoniło to sfery rządzące do wszczęcia wewnętrznej kampanii pod hasłem „Volk ohne Jugend" celem uprzytomnienia społeczeństwu, że znajduje się na drodze biologicznej zagłady. Akcja prowadzona z ogromnym nakładem sił i kosztów a poparta z biegiem czasu uruchomieniem całego szeregu urządzeń państwowych, wydała pewne rezultaty. Niewątpliwie powiodło się szerokie spopularyzowanie wiadomości znanych poprzednio wyłącznie szczupłemu gronu fachowców, socjologów, lekarzy i higienistów. Odpowiednie urobienie opinii społecznej było tym bardziej potrzebne, że ruch narodowo-socjalistyczny — orientując się w sytuacji — podjął hasło walki o dziecko i stworzył z niego bodaj że fundamentalny zrąb własnej ideologii. Dziecko zostało podniesione do wyżyny symbolu przyszłości państwa i narodu. Kampanię o nie związano zgrabnie z teorią rasistowską, z systemem rozlegle rozbudowanej eugeniki i programem opanowania bezrobocia.

Polityka ludnościowa III Rzeszy nawiązuje do rezultatów długoletnich i skrupulatnych badań demograficznych, w szczególności zaś do studiów nad przyczynami spadku urodzeń, przyjmując za dowiedzione, iż jest on przede wszystkim następstwem przeobrażeń obyczajowych i moralnych, w mniejszym zaś stopniu skutkiem przyczyn ekonomicznych. Wszyscy autorzy i badacze — a więc nie tylko narodowo-socjalistyczni — konstatują zasadniczą zmianę na niekorzyść w psychologicznym nastawieniu i odnoszeniu się społeczeństwa do dziecka, podkreślają niechęć do dobrowolnego podejmowania ciężarów życiowych, silnie zaakcentowany materializm działania i myślenia. Jednym słowem jako główną przyczynę regulacji urodzeń wysuwają głęboko sięgające zmiany w dziedzinie światopoglądu indywidualnego, małżeńskiego i społecznego. Na drugim dopiero miejscu mówi się o ujemnym wpływie zawodowej pracy na rozrodczość.

Poważne znaczenie przypisuje się zawieraniu małżeństw w późniejszym wieku; skraca ono liczbę lat przeżytych w małżeństwie, wpływa na podniesienie przeciętnego wieku mężatek i wzmaga tym samym nasilenie głównie poporodowych chorób kobiecych. Nauka niemiecka traktuje więc spadek urodzeń nie tylko jako następstwo przeobrażeń psychologicznych i procesów ekonomicznych, ale widzi w nim wyraz biologicznych skutków ograniczenia potencjału płodności [2]).

Do zbliżonych wyników doprowadziły badania nad genezą spadku urodzeń także i w innych krajach, z tą może różnicą, że wszędzie położono znacznie silniejsze akcenty na przyczynach natury ekonomicznej.

Tezy o przyczynach spadku rodności stały się punktem wyjścia dla wdrożenia planowej działalności populacyjnej, która rozpoczęła się w kierunku przebudowy sposobu myślenia niemieckiego społeczeństwa i stwarzania warunków zachęcających do zakładania liczniejszych rodzin.

Przebudową psychologii mas niemieckiego społeczeństwa zajął się „ex offo" Państwowy Wydział Służby Zdrowia (Reichsausschuss für Volksgesundheit), któremu powierzono określenie form propagandy, zebranie materiałów, pogłębienie badań naukowych oraz organizację całej akcji z obowiązkiem przyswojenia każdemu dojrzałemu obywatelowi dwóch naczelnych zasad, a mianowicie, że:

1. naród i państwo mają prawo żądać od obywatela pełnowartościowego potomstwa,

2. obywatel ma obowiązek wychować pełnowartościowe potomstwo.

Już pierwsze wyniki badań wdrożonych przez Wydział Służby Zdrowia lub z jego inicjatywy brzmiały nader niepokojąco i wpłynęły wydatnie na przyspieszenie państwowej interwencji w zakresie ludnościowym. Wydział nie omieszkał zwrócić uwagę na zatrważający stan niemieckiego bilansu demograficznego, przypominając, że:

1. wojna pochłonęła około 2.000.000 mężczyzn fizycznie najdorodniejszych, a w przygniatającej większości w sile wieku [3]),

2. na skutek zrujnowania życia rodzinnego urodziło się w Niemczech w latach 1914—1918 ponad 3.000.000 niemowląt mniej aniżeli w poprzednich pięcioleciu, dalej że:

3. anormalne stosunki wojenne wzmogły umieralność ludności cywilnej,

4. wyginięcie mężczyzn w wieku ślubnym zachwiało w sposób katastrofalny równowagę płci, zmniejszając szanse zamążpójścia dziewcząt niemieckich, w związku z czym spadek rodności okazał się nieunikniony,

5. wojna zaznaczyła się także na polu społecznej struktury wiekowej, która uległa zmianom na skutek spotęgowanej umieralności młodych roczników męskich oraz niedoboru urodzeń, pogłębionego wojenną umieralnością niemowląt i dzieci, przyczym pamiętać trzeba, że:

6. materiał męski został wyselekcjonowany in minus — ponieważ najzdrowsi wyginęli na polach bitew. Ogromną rolę dysgeniczną gra

7. wzrost chorób wenerycznych, spowodowany rozluźnieniem węzłów rodzinnych, jakoteż

8. ogólne niedożywienie społeczeństwa, spowodowane trudnościami aprowizacyjnymi [4]).

---

[1]) Praca ta jest rozszerzeniem artykułu drukowanego w roku 1936 w miesięczniku „Światło". W związku z tym powtórzono tutaj niektóre ustępy.

[2]) O potencjale płodności świadczy liczba kobiet w wieku 15 — 49 lat. Liczebność kobiet tej grupy wiekowej decyduje o płodności ogólnej.

[3]) 77% strat ściśle wojennych przypada na mężczyzn w wieku lat 20—35.

[4]) F. Bürgdörfer — Volks- und Wehrkraft, Krieg und Rasse. Berlin 1936. Str. 82 i dalsze.

Jeżeli się ponadto uwzględni szerzące się w latach 1930—1933 bezrobocie, które obejmowało około 6.000.000 osób, to niepodobna się dziwić wyraźnemu spadkowi liczby zawieranych małżeństw; w latach 1930/32 zaniechano około 300.000 małżeństw (przeciętnie zawierano w Niemczech około 600.000 małżeństw).

Najbardziej jednak rewelacyjnym stwierdzeniem było wykazanie, że dodatnie saldo naturalnego ruchu ludności jest iluzoryczne. Studia demograficzne dowiodły, że *liczba urodzeń w Niemczech nie wystarcza od r. 1926 do podtrzymania liczebności narodu*, a niedobór urodzeń pogłębia się z roku na rok. *Liczba urodzeń w r. 1932 stanowiła zaledwie 70% nieodzownego dla utrzymania liczebności narodu — minimum.*

Okoliczności te, razem wzięte, musiały wpłynąć na przyśpieszenie akcji ludnościowej zarówno w formie stwarzania realnych możliwości dla podniesienia rozrodu, jak i rozwinięcia szerokiej i energicznej propagandy.

Propaganda, prowadzona zresztą do dzisiaj z niesłabnącym natężeniem, odbywa się w formie wykładów, odczytów, wieców, organizowania związków dużych rodzin, wydawnictwa popularnych broszur, specjalnych dodatków do dzienników, urządzania kursów macierzyńskich, opieki nad niemowlęciem, gospodarstwa domowego itp. Duży nacisk położono na giętkość akcji, co zadecydowało o łatwości przystosowania jej do warunków poszczególnych środowisk, do potrzeb lokalnych i okoliczności zewnętrzno-politycznych.

Podstawą polityki populacyjnej jest Konstytucja Weimarska z dn. 11.VIII.1919 r. w szczególności zaś artykuły poświęcone społecznej i państwowej roli rodziny [5]), uznanej za zasadniczą komórkę bytu państwa i narodu. Tak pojętej rodzinie pragnie niemiecka polityka ludnościowa stworzyć warunki powstania, zabezpieczyć byt i umożliwić wychowanie liczniejszego potomstwa.

Cała polityka sprowadza się zatem do trzech zagadnień, znanych pod nazwami: problemu ślubności (ułatwienie powstania rodziny), zagadnienia ekonomicznej stabilizacji rodziny (zabezpieczenie bytu) i problemu wyrównania ciężarów rodzinnych (umożliwienie wychowania liczniejszego potomstwa).

Założenia programowe niemieckiej polityki ludnościowej wskazują niedwuznacznie, że mimo przyznania zagadnienia regulacji urodzin charakteru „par excellence" obyczajowego, zadecydowano szereg posunięć ekonomicznych. A co najciekawsze i najlepiej może oświetla dokładność socjologicznego i psychologicznego przestudiowania całości problemu, to fakt ścisłego związania pierwszych prób wzmożenia ślubności z akcją zwalczania bezrobocia.

Problem ślubności. Już w roku 1933 niemiecki przemysł tytoniowy, idąc po linii zaleceń rządowych, daje ustępującym robotnicom możliwość wskazania zastępcy i decyduje się na wypłatę wszystkim, wychodzącym do końca roku kalendarzowego zamąż, a nie krócej jak rok zatrudnionym pracownicom, odprawy ślubnej [6]) (Ausstattungshilfe) w wysokości 400 do 600 RM. Wprowadzona krótko potem na dużą skalę wypłata zasiłków małżeńskich (Ehestandsdarlehen) podniosła istotnie spółczynnik ślubności, który od czerwca 1933 r. utrzymuje się na poziomie w Niemczech od dawna nienotowanym (znacznie powyżej 10‰, dochodząc nawet 15,7‰).

Ogółem zawarto w Niemczech w 1932 roku 517.000 małżeństw, w 1933 r. — 639.000, w r. 1934 natomiast 740.000. W następnych dwóch latach 1935 i 1936 spada liczba zawartych małżeństw do 651.000 i 611.000 z powodu „nadrobienia" zaniechanych małżeństw z okresu kryzysu. W przyszłości liczą się Niemcy z dalszym obniżeniem ślubności na skutek wkraczania w wiek ślubny liczebnie słabych roczników wojennych. Wzrost ślubności w latach 1933—1935 pozostaje w niewątpliwym związku z wprowadzeniem w życie przez *Reinhardta* państwowego wianowania. Ogółem zawarto od sierpnia 1933 r. do końca 1936 r. 694.357 małżeństw, wianowanych przez państwo na łączną kwotę 420.000.000 RM.

d. n.

[5]) artykuły: 119—122, 146, 151, 155.

[6]) Harmsen — Bevölkerungspolitische Massnahmen in der Zigarettenindustrie. Archiv für Bevölkerungswissenschaft — 1933—34. Z. 1, str. 457.

ŻYCIE PROWINCJI

Elementy aspołeczne

Lwów, październik 1938 r.

(j) W dniu 16 b. m. odbył się we Lwowie wielki Zjazd Obywatelski Małopolski Wschodniej, zorganizowany przez lwowski Okręg OZN. W Zjeździe wziął udział gen. Skwarczyński, który po odebraniu defilady od członków Obozu i uczestników Zjazdu udał się do Teatru Wielkiego na akademię. Zarówno w defiladzie, jak i na akademii w Teatrze Wielkim wzięły udział kilkunastotysięczne tłumy ludności polskiej z ziem południowo - wschodnich. Po ostatnich ukraińskich demonstracjach na rzecz Rusi zakarpackiej była to spokojna i pełna powagi odpowiedź społeczeństwa polskiego.

Niestety, Zjazd ten nie odbył się bez przykrych momentów. Aktorem gorszących incydentów była rozpolitykowana młodzież endecka. Grupki tej młodzieży, wśród której znajdowali się i gimnazjaliści, usiłowały zakłócić manifestację okrzykami a nawet czynnym targnięciem się na członków pochodu. Pierwsze starcie miało miejsce przed województwem i skończyło się sromotnym pobiciem napastników przez legionistów i kolejarzy. Fiaskiem skończyło się również usiłowanie rozbicia pochodu, a w trzeciej próbie zakłócenia spokoju przed Teatrem zostali prowokatorzy rozproszeni przez policję.

Nie notowalibyśmy tego incydentu, który powinien raczej pozostać w kronice policyjnej i figurować na karcie „zasług" Stronnictwa Narodowego, gdyby nie to, że fakt ten ma daleko głębsze znaczenie, niżby się pozornie wydawało. Dowodzi on jak daleko posunęło się zacietrzewienie partyjne u tych ludzi, których t. zw. kultura organizacyjna znajduje się już na poziomie dosłownie brukowym. Jeżeli dotychczasowe bójki na uniwersytetach były usprawiedliwione przez pewne koła chęcią odżydzenia uczelni, — to niedzielnego „występu" wykrętem tym usprawiedliwić się nie da, bo przecież wszystkim a nawet i uczestnikom bojówek było wiadomym, że w pochodzie nie ma ani jednego Żyda.

Ekscesów tych, mimo całego obiektywizmu, nie można podciągnąć nawet pod t. zw. bójki partyjne. Byłoby to może do pomyślenia na wiecu czy innym zebraniu zamkniętym, ściśle partyjnym; nie do pomyślenia jednakże jest — na regionalnym, polskim Zjeździe, na ulicach miasta i to w dodatku miasta o tak specyficznym charakterze, jakim jest Lwów. Tu nie ma miejsca na otwartą walkę Polaków z Polakami. Tu ludność polska, jeśli już dzielą ją różnice zapatrywań, musi mimo wszystko zachować duży umiar wobec swoich przeciwników politycznych, musi pamiętać, że stoją przed nią stokroć ważniejsze zadania, niż wywoływanie walki wewnętrznej we własnym społeczeństwie.

Bojówkarski napad młodzieży „narodowej" na Polaków odmiennych a prawdziwie narodowych przekonań w zestawieniu z niedawnymi manifestacjami Ukraińców na ulicach Lwowa — budzi uczucie odrazy i nasuwa poważne zastrzeżenia. Udział młodzieży gimnazjalnej w szeregach bojówek stanowi poważne obciążenie dzisiejszych stosunków w szkolnictwie. Jakie wnioski z tego wyciągnie OZN, to jest rzeczą władz naczelnych tej organizacji; w każdym razie w ubiegłą niedzielę można się było „poglądowo" przekonać, kto w Polsce jest czynnikiem wybitnie dekonsolidacyjnym.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Kryzys dokonany i kryzys spodziewany

(z. d.) Podpisanie przez Francję układu w Monachium wywołało, jak zresztą łatwo można było się spodziewać, poważny kryzys w łonie oficjalnej parlamentarnej większości rządowej.

Zewnętrznie kryzys ten polega na trzech faktach. Pierwszym kolejno jest oddanie przez partię komunistyczną w głosowaniu w Parlamencie nad układem monachijskim i finansowymi pełnomocnictwami dla rządu głosów swych przeciwko Daladier'owi. Niemniej ważny i wymowny jest fakt powstrzymania się od głosowania w sprawie pełnomocnictw socjalistów, którzy głosowali za rządem w sprawie układu monachijskiego. Wreszcie najważniejszym momentem sytuacji jest uchwała Biura Komitetu Wykonawczego partii radykalnej, konstatująca, że komuniści „usiłują sparaliżować akcję rządu przez wypaczenie jej sensu i w tym celu rzucają nieskończone zniewagi, grubiańskie obelgi i kłamstwa", że „ataki te sięgają nie tylko szefa rządu i partię, którą on reprezentuje, lecz również i partie, które ze swej strony wypowiedziały się za polityką zagraniczną rządu". — Biuro stwierdza, że zarówno „na terenie opinii, jak i Parlamentu, grupa komunistyczna wycofała się rozmyślnie z formacji politycznej, na którą nie przestaje się powoływać", to znaczy z frontu ludowego.

Oświadczenie to Biura Kom. Wyk. partii radykalnej, mimo pozornej precyzji, nie jest całkiem jasne. Może ona zarówno oznaczać skorzystanie przez partię z nadarzającej się okazji do definitywnego zerwania faktycznej i formalnej współpracy z komunistami, jak i tylko taktyczne stwierdzenie konsekwencji, wynikających z postępowania partii komunistycznej, w tym drugim wypadku pozostaje możliwa droga do zażegnania kryzysu w łonie frontu ludowego. Za przyjęciem pierwszej interpretacji przemawia ocena sytuacji z punktu widzenia parlamentarnego. Gdy przed sześciu miesiącami rząd Daladiera postawił w Parlamencie tę samą co i ostatnio sprawę pełnomocnictw, głosowali za nim zarówno socjaliści, jak i komuniści. W październikowym głosowaniu komuniści oddali swe głosy przeciw rządowi, a socjaliści powstrzymali się od głosowania; rząd, składający się z przedstawicieli partii radykalnej, otrzymał pełnomocnictwa i utrzymał się jedynie dzięki temu, że głosowała za nim cała prawicowa opozycja. Fakt ten z punktu widzenia formalnego oznaczałby, że w miejsce dotychczasowej większości frotu ludowego zjawiła się nowa większość, radykalno - prawicowa i że rząd, pozostając u władzy, tę większość jako swą podstawę parlamentarną akceptuje. Lecz w takim razie partia radykalna musiałaby zerwać faktyczną i formalną współpracę nie tylko z komunistami lecz i z socjalistami i pozostać odosobnioną wobec prawicy, będącej w istocie rzeczy w opozycji do rządu, co wytworzyłoby dla partii radykalnej jako partii rządowej niezmiernie trudną sytuację. Dlatego też wydaje się bardziej prawdopodobna inna hypoteza. Mianowicie, że partia radykalna, korzystając z jednej strony z wewnętrznych walk w łonie prawicy, z drugiej z wyjątkowo niekorzystnej sytuacji, w jakiej znaleźli się komuniści w stosunku do ogółu mas robotniczych po swych nawoływaniach do wojny, potępionych nawet przez antyfaszystowskie organizacje syndykalne, pragnie stworzyć nową większość, w której stanowiłaby sama centrum, mając po lewej stronie socjalistów, a po prawej umiarkowaną część prawicy. Byłaby to więc koncepcja konsolidacji z wyłączeniem prawego i lewego krańca wachlarza parlamentarnego. Realizacja tej koncepcji mogłaby ewentualnie nastąpić w drodze rozwiązania Izb i nowych wyborów.

Jeśli taka jest istotnie intencja radykałów, to pomijając już trudności, jakie mogą wyniknąć na prawicy, nie łatwo przyjdzie im pozyskać socjalistów, starających się za wszelką cenę uratować front ludowy. Leon Blum zareagował na przykład na decyzję radykałów artykułem, w którym upomina ich, „że żadna z partyj frontu ludowego nie powinna i nie może wykluczać z niego innej, lub też oświadczać, że ta inna partia sama się z niego wycofała" i popiera żądanie komunistów, aby sprawę przekazano komitetowi narodowemu frontu ludowego. „Partia socjalistyczna — pisze Blum — nie da się poruszyć i sprowadzić z prostej drogi, po której kroczy. Powie, że front ludowy zawsze żyje, że wzajemne zobowiązania frontu ludowego nadal obowiązują, że czuje się zawsze związany, bez żadnej dyskryminacji, z wszystkimi partiami, które jak i ona, zachowują te zobowiązania i są, jak i ona, zdecydowane pozostać im wierne". Partia socjalistyczna obawia się oczywiście takiej konstelacji, w której zostałaby bez możności oparcia się w razie potrzeby na komunistach, a stąd naturalne jej dążenie do utrzymania frontu ludowego, w którym z komunistami stanowi czynnik liczebnie przeważający. To dążenie socjalistów do pozostania w kontakcie z komunistami jest w tej chwili jednym z najważniejszych elementów sytuacji politycznej we Francji, najważniejszą przeszkodą dla partii radykalnej w dziele rekonstrukcji francuskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej.

W tym również tkwi najpoważniejsze niebezpieczeństwo ewentualnej większości radykalno - prawicowej. W innym miejscu w niniejszym numerze „Narodu i Państwa" cytujemy niedwuznaczne ostrzeżenie leadera socjalistów francuskich, że jeśli powstanie konstelacja wewnętrzna, która mogłaby być uważana za skierowaną przeciwko socjalistom — a taką byłaby z pewnością konstelacja radykalno - prawicowa — to wówczas partia socjalistyczna utworzy wspólny front z komunistami. Taki wspólny front, znajdując się w mniejszości na terenie Parlamentu, miałby oczywiście naturalną tendencję do rozwinięcia swych sił na terenie zakładów produkcji i na ulicy. Mogłaby wytworzyć się znowu niepokojąca sytuacja z lata i z jesieni roku 1936, sytuacja, która w dzisiejszych warunkach zewnętrznych musiałaby mieć najtragiczniejsze następstwa. Można więc w związku z tym wątpić, czy wystąpienie partii radykalnej przeciw komunistom oznacza chęć definitywnego rozbicia frontu ludowego i przesunięcia się na prawo. Bardziej prawdopodobna jest hypoteza, że radykałowie dążą do zjednoczenia bez komunistów i skrajnej prawicy. Może wreszcie, grożąc rozbiciem frontu ludowego, pragną tylko zmusić komunistów i socjalistów do zaakceptowania sprzecznego z ich doktrynami programu rządowego.

*

Jeżeli we Francji notujemy dokonany fakt poważnego kryzysu wewnętrzno - politycznego, to w Anglii możemy dopatrywać się oznak zbliżającego się kryzysu. Nie są to owe namiętne ataki, z jakimi spotkał się w prasie i w parlamencie Chamberlain po powrocie z Monachium. Oznaki możliwego i prawdopodobnego kryzysu są mało widoczne, lecz niemniej realne.

Po powrocie z Monachium Chamberlain mógł z łatwością przedstawić swą politykę w kryzysie czechosłowackim jako paliatyw jedynie, który zastosowano w braku innego wyjścia. Jednak premier brytyjski poszedł inną drogą, przedstawił rezultat swoich usiłowań w zupełnie innym świetle, dopatrzył się w układzie monachijskim fundamentu ogólnoeuropejskiej polityki stabilizacji. Uznał nawet za celowe ogłosić wraz z kanclerzem Hitlerem po podpisaniu układu wspólną deklarację, która, przy całej swej ogólnikowości, była dokumentem wiary brytyjskiego premiera w chęć kanclerza Rzeszy zahamowania co najmniej na dłuższy okres czasu niemieckiego dynamizmu.

W debacie Parlamentu brytyjskiego nad układem monachijskim polityka premiera spotkała się z gwałtowną krytyką ze strony opozycji i nawet ze strony członka większości rządowej, Edena. Nie zaprzeczając roli, jaką w wystąpieniu byłego ministra spraw zagranicznych mógł odegrać jego osobisty antagonizm do premiera, trzeba zauważyć, że Eden z pewnością nie atakowałby polityki Chamberlaina, gdyby nie był przekonany, iż w łonie większości znajduje się wielu deputowanych, patrzących na tę politykę okiem bardzo krytycznym. Tak samo pierwszy lord admiralicji, Duff Cooper, nie wystąpiłby manifestacyjnie z gabinetu, gdyby nie wiedział, że manifestacja jego spotka się z cichą aprobatą u wielu kolegów z partii konserwatywnej, którzy z ogólnych względów głosowali za rządem. W debacie nad układem monachijskim najznamienniejszym momentem był właśnie ten fakt istnienia w łonie partii rządowej niezdecydowanej i ukrytej opozycji przeciwko Chamberlainowi.

Wypowiedzenie się tej niezdecydowanej opozycji za polityką zagraniczną prowadzoną przez premiera, motywowane było nadzieją, że kosztem nadwyrężenia prestiżu Wielkiej Brytanii, co było wielkim kosztem, kosztem oddania w ręce Niemiec wielkich atutów gospodarczych i strategicznych, co również było wielkim kosztem, uda się osiągnąć zasadnicze porozumienie angielsko - niemieckie. O takim porozumieniu marzył już w końcu ubiegłego stulecia ojciec obecnego premiera, Joe Chamberlain, a teraz stara się wszelkimi siłami osiągnąć je Neville Chamberlain. Porozumienie to przywitałaby z radością część opinii angielskiej nie nastawiona wrogo do panującego w Niemczech reżimu. Otóż nadzieje na to porozumienie, od dnia mowy kanclerza Hitlera, wygłoszonej w Saarbrücken, w Anglii maleją i dziś już określane są jako mało realne. W prasie angielskiej zaczyna dominować ton zawodu i pewnego rozgoryczenia, które narazie spada na Niemcy. Co więcej jednak, większość argumentów, którymi operowała część prasy angielskiej, broniąc polityki Chamberlaina przed atakami opozycji, obecnie zwalczana jest przez tę samą prasę. Jest więc zupełnie możliwe, że reakcja po nadmiernych nadziejach, jakie Chamberlain rozbudził w Anglii po powrocie z Monachium, skieruje się ostatecznie przeciwko niemu. Daje się już zauważyć ochłodzenie tonu prasy w stosunku do premiera.

Poparcie, jakie otrzymał w społeczeństwie premier brytyjski po powrocie z Monachium, wynikało głównie z radości, wywołanej przez „uratowany pokój". Obecnie coraz większa część społeczeństwa angielskiego, całkiem zresztą niesłusznie, zaczyna przychodzić do przekonania, że pokój uratowano na niedługo, że może już wkrótce na innym odcinku polityki międzynarodowej powtórzą się wstrząsy, jakie przeżyli Anglicy we wrześniu. A w takim razie Chamberlain może przestać być uznawany za męża opatrznościowego, co by stworzyło doraźną możliwość głębszych zmian wewnętrzno - politycznych. Już niejedno przesilenie rządowe w krajach parlamentarnych wywołane zostało prostą reakcją psychiczną. W tym wypadku byłaby to reakcja po wzbudzonych nieopatrznie przez Chamberlaina zbytnich nadziejach.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Problemy niemieckie

(aa). Nie pora w obecnej sytuacji przesądzać losów walki, która na Bałkanach już się rozgrywa między koalicją anglo - francuską a Berlinem, realizującym swe wielkie plany. Nie można natomiast zapominać, że koncepcja Berlin - Bagdad nie wyklucza bynajmniej realizacji planów Mitteleuropy, przeciwnie — ta ostatnia stwarza silniejszą bazę dla ekspansji na południowy - wschód.

W czasie swej podróży na Bałkany minister gospodarki Rzeszy Funk w wywiadzie udzielonym w dniu 15 października dziennikarzom bułgarskim oświadczył między innymi co następuje: Gospodarka niemiecka i gospodarka południowego - wschodu uzupełniają się wzajemnie w sposób b. szczęśliwy... Niemcy dopomogą krajom bałkańskim eksploatować bogactwa naturalne. W ten sposób będą one mogły osiągnąć wyższy standard życiowy i zwiększyć siłę nabywczą. Południowy wschód będzie mógł więcej kupować w Niemczech i odwrotnie Niemcy zwiększą swój import z krajów południowo - wschodnich. Niemcy przyjdą im z pomocą drogą udzielenia kredytów towarowych, które prowadzą do zwiększenia wymiany, a nie wywołują ujemnych skutków w obrocie dewiz...

Te parę zacytowanych zdań prymitywnie może, ale dość dokładnie oddaje plany gospodarcze Niemiec na Bałkanach, wykreśla linię polityki gospodarczego uzależniania tych obszarów oraz zawiera jeszcze podstawową tezę niemiecką o dopełnianiu się układu gospodarczego Rzeszy i układów państw wspomnianych. Zastąpimy teraz wyrazy: Południowy Wschód, Bałkany, słowem — Polska. Odżyje, jeśli w ogóle odżywać potrzebuje, tylekroć i przez politykę i przez naukę niemiecką lansowana teoria Polski związanej gospodarczo z Rzeszą, a w rezultacie uzależnionej politycznie od kolosa niemieckiego.

Po wybuchu wojny celnej polsko-niemieckiej w r. 1925 nastąpiła w ciągu kilku lat daleko idąca separacja gospodarki polskiej od gospodarki Niemiec. Udział tych ostatnich w naszej wymianie zagranicznej spadł prawie trzykrotnie, do kilkunastu procent. Począwszy od roku ubiegłego tendencja powyższa uległa b. gwałtownej zmianie:

Rok	Import z Niemiec		Eksport do Niemiec	
1936	142,9 milj. zł.	14,2%	145,3 milj. zł.	14,2%
1937	182,2 „	14,5%	173,0 „	14,5%
1938.I—VII	171,0 „	22,2%	139,0 „	21,3%

Na zwiększenie się importu z Niemiec wpłynął dodatkowy przywóz, nie powodujący zresztą utraty dewiz, dla likwidacji t. zw. zamrożeń kolejowych z tytułu tranzytu przez Pomorze. W świetle wywiadu dr. Funka jest to klasyczna tranzakcja „dopełniająca", tyle tylko że zawarta przez Polskę w sytuacji przymusowej. W dniu 18 b. m. została jednak ogłoszona nowa umowa, przewidująca przyznanie ze strony niemieckiej 9 letniego kredytu towarowego dla dodatkowego importu z Niemiec urządzeń inwestycyjnych. Łączna kwota dostaw wynosić będzie 120 milj. zł. i ma być rozłożona na okres 4 lat. Omawiany import będzie zapłacony za pomocą eksportu z Polski artykułów rolniczych.

Abstrahując od wartości umowy i jej znaczenia dla naszego bilansu handlowego, dla tych czy innych grup wytwórców i eksporterów, podkreślić jednak należy jej niebezpieczny w świetle poprzednich uwag charater.

Przyszłość gospodarcza Zaolzia

(aa). W ostatnim numerze „Polski Gospodarczej" z dn. 15.IX znajduje się drugi z kolei wywiad z Ministrem Przemysłu i Handlu na temat Śląska Zaolzańskiego. Tym razem porusza on zagadnienie wpływu zaszłych w związku z powyższym zmian na położenie gospodarcze Polski i na jej przyszły rozwój gospodarczy. Ponieważ sprawy te bardzo ściśle wiążą się z problemami wysuniętymi w ostatnim Notatniku Gospodarczym, przytaczamy część wywodów Min. Romana w streszczeniu.

Dzięki przyłączeniu Śląska wydobycie węgla wzrośnie w Polsce o 20%, wytwórczość stali o ok. 50%. Jeśli chodzi o węgiel, to zbyt jego oprze się w części na rynku wewnętrznym, w części zaś na zewnętrznym. Rynek wewnętrzny wykazuje zapotrzebowanie koksu i węgla koksującego na cele hutnicze. Poza tym należy spodziewać się utrzymania dotychczasowych rynków eksportowych.

Największy jednak wpływ wywrze powrót Śląska Zaolzańskiego do Polski na hutnictwo. Z jednej strony — udostępnienie hutnictwu koksu pierwszorzędnej jakości pozwoli na zracjonalizowanie i techniczne podniesienie dotychczasowej produkcji Macierzy, z drugiej strony — wzorowo pracujący, technicznie świetnie wyposażony przemysł hutniczy Śląska Zaolzańskiego dostarczy produktów pierwszej jakości, zwiększając nomenklaturę naszej wytwórczości w zakresie hutniczym.

Zdolność produkcyjna przejętych przez Polskę zakładów hutniczych wprzęgnięta zostanie w wewnętrzne procesy inwestycyjne i przyczyni się do znacznej ich intensyfikacji. W planach naszej rozbudowy gospodarczej przewidzieliśmy wielkie inwestycje w przemyśle hutniczym. Powrót Zaolzia potrzebę tych inwestycyj odsunął na dalszy plan, pozwalając przestawić nasz program inwestycyjny w kierunku rozbudowy metalowego przemysłu przetwórczego, jako najpoważniejszego, podstawowego konsumenta dla hutnictwa żelaznego całej Polski. Istniejący system ulg podatkowych — przede wszystkim dekret o ulgach dla C. O. P. — niewątpliwie zlokalizuje te wysiłki inwestycyjne na terenach, leżących w środku Polski. Przyłączenie więc Zaolzia winno w znacznym stopniu przyczynić się do przyśpieszenia tempa rozbudowy C. O. P.

Co do nadwyżek eksportowych w hutnictwie nie należy przewidywać większych trudności, zwłaszcza, że zakłady hutnicze Śląska Zaolzańskiego częściowo uczestniczyły w kartelach międzynarodowych. Wytwórczość Zaolzia, dostarczając nowej, poważnej masy eksportowej, otwiera przed Polską widoki poprawy bilansu handlowego. Wszystkie powyższe względy przemawiają za koniecznością nie tylko utrzymania produkcji na niezmienionym poziomie, ale nawet jej wzmożenia w granicach racjonalnie pojętego interesu państwowego.

Min. Roman w swym wywiadzie przedstawił zasady, na jakich opierać się ma współpraca Śląska Zaolzańskiego z resztą gospodarstwa narodowego i wytyczył zasadnicze kierunki działania. Teraz z kolei czas na wprowadzenie tych zamierzeń w życie. Od sprężystości wykonania i odwagi zerwania z wieloma formami życia gospodarczego, panującymi na terytorium pozostałych dzielnic, zależeć będzie ostateczny wynik.

Dolar czy złoto

(aa). Wrzesień 1938 r. będzie okresem niezwykle ciekawym nie tylko dla polityka, czy historyka — powinien bez wątpienia przez długi czas służyć jako źródło materiałów badawczych również dla ekonomistów. Pasjonujące jest przede wszystkim dla tych ostatnich zagadnienie, w jakiej mierze reakcja mas w poszczególnych sytuacjach gospodarczych zgodna była z „klasyczną teorią".

Zaznaczyć wypada na początku, że synchronizacja wypadków politycznych i nastrojów, rządzących rynkami finansowymi i towarowymi większości krajów Europy, była w tym czasie niezwykle dokładna. Obawa przed wybuchem wojny i spodziewanym wówczas zawieszeniem wypłat przez banki wywołała niezwykle silny odpływ wkładów z banków oraz instytucji oszczędnościowych. Obok tendencji tezauryzacyjnych miał miejsce w krajach zachodnio - europejskich, przede wszystkim w Anglii, niezwykle silny odpływ kapitałów do Ameryki, który zamienił się wkrótce w paniczną ucieczkę. Min. skarbu Stanów Zjednoczonych Morgenthau oświadczył, że ucieczka ta była największą, jaką kiedykolwiek zanotowano w historii, w ciągu bowiem paru tygodni odpłynęło za ocean przeszło 500 milionów dolarów kapitałów zagranicznych.

Do tego momentu sytuacja rozwijała się zgodnie z „tradycją". Poza ucieczką kapitałów powinien był jednak powstać na rynkach wolno - dewizowych znaczny popyt na złoto; złoto stanowiło bowiem zawsze najwygodniejszy obiekt tezauryzacji. Istotnie na giełdzie londyńskiej w pierwszej połowie września panowało zapotrzebowanie na ten kruszec. Natomiast w drugiej połowie miesiąca sytuacja zmieniła się radykalnie. Zaczęła się gwałtownie ucieczka od złota do dolarów w okresie przed konfiskatą prywatnych zapasów złota w razie wybuchu wojny. Wbrew teorii — „papierek" okazał się bardziej godnym zaufania niż złoto!

Normalnym objawem jest fakt, że perspektywa wojny wpływa na wzrost cen surowców, gdyż popyt na nie się zwiększa. Tymczasem kauczuk, będący typowym surowcem wojennym, nie zastosował się do tej reguły. Zniżkował na każdą wieść o komplikowaniu się sytuacji europejskiej, rósł w cenie, gdy widmo wojny oddalało się. Na spekulantach giełdowych ciążyła świadomość, że w wypadku rozpoczęcia działań wojennych ceny surowców podstawowych będą ustanawiane przez państwo i że realizacja nadmiernych zysków będzie niemożliwa.

Te dwa przykłady, zaczerpnięte zresztą z krajów Europy Zachodniej, nie przesiąkniętych antyliberalnymi teoriami, świadczą jak wielki wpływ na psychikę gospodarczą jednostek i mas ma przeświadczenie o nieuchronnej interwencji państwa, którego *wola* zmienia ustalenia teorii, dostosowane do innej rzeczywistości.

O NAS U OBCYCH

Polonica w prasie amerykańskiej

Sprawa Czechosłowacji stanowiła w prasie amerykańskiej — na przestrzeni ostatnich tygodni — przedmiot wyjątkowo silnego zainteresowania. Przy okazji dzienniki amerykańskie zajęły się w całym szeregu wypadków sprawami polskimi wzgl. najaktualniejszą sprawą z tego zakresu — konfliktem czesko-polskim. Wystąpienia te były na ogół obiektywne i utrzymane w tonie dla Polski życzliwym.

*

Konfliktowi czesko - polskiemu poświęcił dość dużo uwagi poważny dziennik *New York Evening Post*, zwracając przede wszystkim uwagę na konsekwencje, jakie w ogólnym układzie sił politycznych Europy pociągnęło za sobą nieżyczliwe ustosunkowanie się Francji do postulatów rewindykacyjnych Polski. Z uwag tych cytujemy niżej miejsca najistotniejsze: „Jedno zdanie w mowie Hitlera w Norymberdze musiało wywołać gorzkie refleksje w umysłach francuskiego sztabu generalnego i wyższych urzędników przy Quai d'Orsay. Zdanie to padło z ust Hitlera, gdy tenże mówił o swych kontrybucjach na rzecz pokoju. Fuehrer zacytował jako przykład dziesięcioletni pakt nieagresji zawarty z Polską.

„Gdy w Polsce wielki mąż stanu i patriota wyraził swą gotowość do zawarcia paktu z nami" — mówił Hitler — „przyjęliśmy natychmiast ten traktat, uznając granice nasze jako nietykalne. Traktat ten więcej uczynił dla pokoju, niż wszystkie gadania w Genewie wzięte razem".

„Na wiosnę 1933 r. — pisze André Geraud, lepiej znany jako Pertinax, i uznany za jednego z najlepiej poinformowanych komentatorów w sprawach międzynarodowych — rząd polski zaproponował rządowi francuskiemu, by wspólnie wszczęły wojnę prewencyjną przeciwko Niemcom. Gdy propozycja ta została odrzucona, wówczas Polska rozpoczęła układy z Wilhelmstrasse... Militarna ideologia Piłsudskiego nie mogła się zgodzić z pokojową polityką demokracji francuskiej i czeskiej".

„Francuzi i Czesi przypuszczalnie teraz dopiero przyznają rację Piłsudskiemu".

Na ochłodzenie się stosunków między Polską i Francją zwróciło również uwagę pismo *Toledo Times*, które przyniosło poświęcony tej sprawie obszerny artykuł pióra red. Willis Thornton'a, zatytułowany: „Restless Poland, Watching Nazi Succes, Cools to France, Friend of 20 Years" („Nie mogąca trwać w bezruchu Polska, patrząc na sukcesy nazistów, chłodnie wobec Francji, swej przyjaciółki od 20 lat").

Wybitnie nieżyczliwie do Polski ustosunkował się w sprawie konfliktu polsko - czeskiego znany już z szeregu wystąpień antypolskich dziennik *Chicago Tribune*, utrzymujący na swym żołdzie osławionego reportera Donald Day'a, wydalonego z granic Polski za rozsiewanie bałamutnych i szkodliwych dla interesów polskich wiadomości i wersji, a przebywającego obecnie w Rydze. Pismo to — w związku z narastającym konfliktem polsko - czeskim — poświęciło co prawda Polsce jeszcze przed ultimatum rządu polskiego całą kolumnę druku, publikując materiał informacyjny o niejednolitej wartości: bezstronny i tendencyjny, przychylny i nieprzychylny, jednakże Donald Day alarmował w dalszym ciągu na łamach tego pisma opinię amerykańską tatarskimi wieściami o Polsce, pisząc np. o tym, że dwie armie sowieckie są gotowe do uderzenia na Polskę, że w Warszawie wybuchła panika, że brak w stolicy schronów i masek gazowych, że komuniści polscy tworzą specjalną armię czerwoną, że ludność białoruska i ukraińska urządzi na wypadek wojny polsko - sowieckiej powstanie i poprze w ten sposób wysiłki armii sowieckiej itd. itd.

*

Aktualny układ stosunków polsko - litewskich został omówiony na łamach największego bodaj i najpoważniejszego dziennika amerykańskiego *New York Times* w obszernym artykule zatytułowanym „Poles Tell of Row Lasting 300 Years" („Polacy mówią o sprzeczce, trwającej 300 lat". W artykule tym, utrzymanym w tonie spokojnym i obiektywnym, została omówiona sprawa Wilna i Wileńszczyzny i przedstawiony polski punkt widzenia w tej sprawie. Z repliką przeciwko wywodom powyższego pisma wystąpił na łamach *New York Sunday Times* poseł litewski w Waszyngtonie Zadeikis, publikując artykuł p. t. „Seizure of Vilna" („Zajęcie Wilna"). Poseł Zadeikis usiłował dowieść, że Polacy nie mają żadnych praw do Wilna, że mieszkańcy Wileńszczyzny rasowo, kulturalnie i ekonomicznie zawsze byli złączeni z Litwą, a nie z Polską, i że Litwini nigdy nie przestaną protestować przeciwko „okupowaniu" Wilna przez Polaków. Wystąpienie posła Zadeikisa spotkało się z odprawą — na łamach „New York Times" — ze strony sekretarza Pulaski Society — Bronisława Gliwy.

*

Ukazujący się w Los Angeles tygodnik żydowski (redagowany po angielsku i żydowsku) *California Jewish Voice* zamieścił artykuł p. t. „Polish Terrorists Revive Anti - Jevish Boycott" („Polscy terroryści wznawiają bojkot przeciwko żydom"), poświęcony rzekomym krzywdom i szykanom, na jakie narażeni są podobno Żydzi w Polsce. Artykuł jest wyjątkowo tendencyjny i napastliwy.

We Francji otrzeźwienie

Po fali ataków i napaści na Polskę za jej nielojalne jakoby wobec Francji stanowisko podczas wydarzeń i wypadków politycznych ostatnich tygodni daje się w opinii francuskiej dostrzec zwrot ku trzeźwiejszej i obiektywniejszej ocenie poczynań Polski. Polityka polska, zakładająca sobie stworzenie na wschodzie Europy zapory przeciwko parciu sowieckiemu na zachód i ekspansji Niemiec na wschód, zaczyna znajdować w całym szeregu francuskich ośrodków politycznych coraz to większe zrozumienie i spotyka się z życzliwą oceną swoich posunięć na łamach różnych dzienników i czasopism.

Oto, co np. na temat stosunku Francji do Polski, w nowym układzie sił w Europie, pisze na łamach *„Bulletin des Halles"* pisarz polityczny Gaetan Sanvoisin:

„Czy dalej mamy robić błędy? Wydaje się, że bardzo źle rozumiemy stanowisko Polski i że postępujemy wobec tego wielkiego kraju bez zastanowienia i nierozsądnie, chociaż mamy z Polską tyle wspólnego i tyle wspólnych przeżyć. Wystarczy tylko spojrzeć na taką mapę nowej Europy, jaką stworzyły teraz Wielkie Niemcy, aby natychmiast stwierdzić, że istnieje tylko jedna bariera na wschodzie, która może zahamować pochód i rozwój pangermanizmu: barierę tę wyznaczają: Polska i Węgry, pod warunkiem jednak posiadania wspólnej granicy, Rumunia i — z przedłużeniem do morza Adriatyckiego — Jugosławia.

„Nie lekceważmy sobie sił polskich. Polska liczy 37 milionów mieszkańców. Kraj jest w pełni rozwoju. Ten tylko kraj jeden razem z Jugosławią w 1936 roku chciał się bić ramię przy ramieniu z nami, gdyby wybuchła wojna z powodu obsadzenia zbrojnego Nadrenii przez Niemcy wbrew traktatom. Dobrowolnie Warszawa i Białogród zawiadomiły rząd Sarraut — Flandin, że gdyby wybuchł zatarg zbrojny wskutek prowokacji Rzeszy, jedna i drugi gotowe są ze swymi armiami przyjść nam na pomoc.

„Nie powinniśmy zajmować stanowiska przeciw Polsce za sprawę Cieszyna, a patrząc na mapę, łatwo nam będzie ustalić, że jedyne wyjście, jakie ma Francja, aby przeciwstawić się bolszewizmowi sowieckiemu i powstrzymać niemiecki Drang nach Osten, jest pomaganie Polsce i tym państwom, które gotowe stanąć do szeregu w systemie ochrony, jaki projektuje Warszawa".

W tym samym duchu i na rzecz pogłębienia współpracy z Polską wypowiada się również dziennik *„La Liberté"*, pisząc co następuje:

„Do naszego niepowodzenia w Czecho - Słowacji nie należy dorzucać innego z powodu braku realizmu, a tym niepowodzeniem drugim byłoby zupełne zniknięcie wpływów Francji we wschodniej Europie. Sprawa polsko-węgierska pozwoli nam na postawienie tam silnego kroku. Realizm, czyli, mówiąc po prostu, interes Francji doradza, aby być razem z Polską, Węgrami i Rumunią. To byłoby początkiem polityki wschodniej, która napewno jest więcej wartościowa, niż układ z Sowietami".

Bardzo charakterystyczne jest tu jeszcze wystąpienie zbliżonego do Quai d'Orsay *Temps'a*, który po szeregu wyraźnie antypolskich wystąpień zrewidował — jak się zdaje — swoje w tej sprawie stanowisko, pozytywnie oceniając usiłowania Polski w kierunku ustalenia wspólnych granic z Węgrami. Wywody te, jako bardzo charakterystyczne dla zaszłych w stosunku francuskich kół oficjalnych do Polski zmian, przedstawiają się następująco:

„Polska popiera całkowicie żądania Węgier powrotu etnograficznie węgierskich terytoriów do Węgier na podstawie samostanowienia o sobie narodów oraz ze względu na przyjaźń dla Węgier, a przyłączenie Rusi Podkarpackiej do Węgier z wielu powodów politycznych, których trzy główne wydają się być następujące:

1) Przyłączenie to odbudowałoby wspólną granicę polsko - węgierską, jaka istniała w r. 1772 podczas pierwszego podziału Polski. Pozwoliłoby to na stworzenie bloku Polska - Węgry, który byłby barierą przeciw wpływom sowieckim w Europie, a szczególnie przeciw ekspansji niemieckiej w środkowej Europie. Zarówno Polska jak i Węgry mają poważne powody polityczne i ekonomiczne obawiać się tej ekspansji.

2) Blok ten osłabiłby pozycję „strategiczną" Czechosłowacji i odebrałby Pradze ostatnią nadzieję ewentualnej pomocy Rosji sowieckiej.

3) Każde inne rozwiązanie zagadnienia Rusi Podkarpackiej jest odrzucane przez polską rację stanu. Autonomia, a zwłaszcza niezależność tego małego kraiku, zamieszkałego przez Ukraińców stanowiłaby groźbę dla całości państwa polskiego. Ci niezależni Ukraińcy przypomnieliby sobie napewno swoich 4 i pół miliona pobratymców w Polsce i działaliby na rzecz oderwania ich od Polski.

Po urzeczywistnieniu wspólnej granicy polsko - węgierskiej, Polska byłaby gotowa do porozumienia przyjacielskiego z Czechosłowacją i starałaby się stworzyć „Trzecią Europę" (tak drogą kierownikom polityki polskiej), w której Polska byłaby jądrem, dookoła którego zgrupowałyby się wszystkie państwa od morza Bałtyckiego do morza Czarnego, które zdaleka od „bloków", „osi"... i od Genewy dążą do istnienia wolnego i niezależnego dzięki polityce pokojowej i neutralnej".

Doniosłą rolę w dziedzinie usuwania nieporozumień wzajemnych i likwidowania antypolskich sugestyj w opinii francuskiej odegrał niewątpliwie apel *Stowarzyszenia Przyjaciół Polski* „Les Amis de la Pologne" — (którego spiritus movens jest wypróbowana przyjaciółka Polski — Rosa Bailly), skierowany do społeczeństwa francuskiego i wyjaśniający sprawę rewindykacji Śląska Zaolzańskiego. W apelu tym czytamy m. in. co następuje:

„Powrót Śląska Cieszyńskiego do Macierzy jest sprawiedliwy.

Pożałowania godne jest, że ostatnie

prawne postępowanie Polski było bronione nie przez jej sojuszniczkę Francję, lecz przez Italię i Niemcy.

Tym bardziej pożałowania godne jest, że Polacy widząc, że nie mogą liczyć na nas (Francję), i otrzymując z Pragi jedynie wykrętne odpowiedzi, byli zmuszeni domagać się ostro poszanowania swych praw.

Pożałowania godne jest, że część prasy francuskiej nie uznała praw Polski, że ją okrutnie obrażała, że rozpowszechniała najnieprawdopodobniejsze wiadomości.

Stow. „Les Amis de la Pologne" przeciwstawia się ze wszystkich sił kampanii prasy, która od dawna usiłuje oddzielić nas od narodu, będącego naszym najlepszym i najpewniejszym sojusznikiem, aby zostawić nas samych i osłabionych wobec Niemiec, mających 80 milionów obywateli".

Apel kończy się wezwaniem: „Niech żyje przyjaźń francusko - polska".

PRZEGLĄD PRASY

Na półmetku wyborczym

Ustalenie przez okręgowe zgromadzenia wyborcze kandydatów na posłów zapoczątkowywuje ostatni etap przedwyborczy. W okresie najbliższych trzech tygodni w sumieniu każdego Polaka musi zapaść decyzja, kogo obdarzyć swoim zaufaniem, który spośród kandydatów największe reprezentuje wartości?

W związku z tym problemem, który w chwili obecnej absorbuje większość społeczeństwa polskiego w kraju, **„Gazeta Pomorska"** zauważa słusznie, że już pobieżna analiza list kandydackich wskazuje na to, że nowe izby będą posiadały — zgodnie z przewidywaniami Pana Prezydenta R. P. — całkiem inny skład, niż izby dotychczasowe. Dziennik tak oto charakteryzuje np. przyszły skład izby poselskiej:

„Przeglądając listę kandydatów na posłów, możemy o tym nowym Sejmie coś niecoś powiedzieć, scharakteryzować jego treść wewnętrzną.

A więc przede wszystkim społeczeństwo straciło zaufanie do „posłów zawodowych", tych, którzy permanentnie reprezentowali wolę narodu bez względu na zmiany, jakie dokonywały się w społeczeństwie. Jest tu wyłom w zwyczaju, że ten czy ów działacz partyjny stawiał byle gdzie swoją kandydaturę z góry przekonany, że jednowiercy polityczni obowiązkowo poprą jego kandydaturę.

Stało się inaczej.

Przeszły kandydatury lokalne osób, cieszących się zaufaniem społeczeństwa w swoim okręgu wyborczym. Nie trzeba dodawać, o ile kandydatury te są bliższe sercu wyborcy.

Drugą cechą tegorocznych kandydatów jest stosunkowo znaczny procent przedstawicieli młodego pokolenia, tj. między 30 a 40 rokiem życia. To cecha bardzo ważna. Młodym bowiem obce są sprawy personalne, które są największą zaporą na drodze konsolidacji narodu. A następnie wniosą oni niewyżyte czynniki zapału i świeżej energii.

Wreszcie ostatnia cecha. Na kandydatach nie ciążą takie czy inne oskarżenia polityczne. Ich działalność zawodowa i społeczna jest w wysokim procencie poza zastrzeżeniami. Minimalny tylko procent kandydatów wypełnił rubrykę „zawód" słowami „działacz społeczny" lub „b. poseł". Są to ludzie o kwalifikacjach zawodowych, głęboko tkwiący w środowiskach, które ich zaszczyciły swym zaufaniem.

Możemy więc śmiało już dzisiaj powiedzieć, że nowy sejm będzie odzwierciadlał opinię publiczną kraju. Nawet naprzekór „uniwersałom antywyborczym" opozycji i ona będzie w Sejmie.

Lwowski **„Dziennik Polski"** (nr 285) zwraca uwagę na to, że nowy parlament, jeśliby go ocenić tylko na podstawie list kandydackich, zdolny będzie do przeprowadzenia i zrealizowania wszystkich tych zadań, o jakich w swoim czasie mówił Pan Prezydent Rzplitej:

„Zainteresowanie polskiej opinii politycznej sprawami ordynacji wyborczych, a — co ważniejsze — kierunki tych zainteresowań — znajdą najpełniejszy wyraz w obdarzeniu mandatami poselskimi ludzi, którzy stanowić będą parlament najlepiej przygotowany do wypełnienia stojących przed nim zadań.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej stwierdził, że „wzrosło w szerokich masach narodu zrozumienie potrzeby czynniejszego współdziałania w pracy dla Państwa". To współdziałanie musi obecnie znaleźć wyraz w jak najlepszym, najrozumniejszym, najcelowszym wykonaniu podstawowej funkcji obywatelskiej, w wybraniu na posłów ludzi najodpowiedniejszych.

I doprawdy nic nie pomogą działania tych, którzyby swoją akcją „bojkotową" zaprzeczyć chcieli prawdzie zawartej w słowach Głowy Państwa. Szerokie masy narodu spełnią swój obowiązek, spełnią go tak, aby przyszły Sejm złożony był z ludzi, rozumiejących „istotne przemiany w życiu wewnętrznym Polski", aby ten Sejm rozumiał swoje zadania „zajęcia stanowiska w sprawie ordynacji wyborczych do Sejmu i Senatu".

Po II-giej mowie katowickiej P. Wicepremiera

Wystąpienie wicepremiera Kwiatkowskiego z wielką mową przedwyborczą w Katowicach wzbudziło w szerokich kołach społeczeństwa polskiego zrozumiałe zainteresowanie i stało się przedmiotem ożywionej dyskusji w prasie codziennej. Wystąpienie powyższe zostało przyjęte na ogół przychylnie przede wszystkim ze względu na określenie przez Pana Wicepremiera stanowiska w całym szeregu spraw w sposób, pokrywający się z analogicznym stanowiskiem kół opozycyjnych.

Za najdonioślejsze z wynurzeń Pana Wicepremiera **„Ilustrowany Kurjer Krakowski"** (nr 259) uważa uwagi na temat przyszłej ordynacji wyborczej i nazywa je faktami politycznymi o pierwszorzędnym znaczeniu dla dalszego rozwoju wypadków.

Druga mowa katowicka — ciągnie dalej „Il. Kurjer Codzienny" — nie ogranicza się bynajmniej do precyzowania różnych sposobów praktycznego wyjścia z sytuacji, lecz podmalowuje jeszcze szeroko tło ideowe i uświadamia opinię, jaki jest cel zjednoczenia narodu, do którego dążą czynniki kierownicze.

Stwierdzenie wicepremiera Kwiatkowskiego, że: 1) odrzuca totalizm, 2) odrzuca demokrację liberalno-masońską, 3) staje na gruncie rządnej i karnej demokracji, ma — zdaniem pisma — swoje uzasadnienie i swoje konsekwencje:

„1) Skoro uznaje się, że istnieją w narodzie siły patriotyczne, przepojone szczerą troską o Polskę, które z tych czy innych przyczyn znajdują się w opozycji, ale z którymi w sprawach zasadniczych chce się współpracować na zasadach równości — to trzeba odrzucić myśl o totaliźmie, gdyż totalizm opiera się na istnieniu jednej tylko uprzywilejowanej partii, czyli na t. zw. zasadzie monopartyjności.

2) Skoro wyznaje się zasadę, że w życiu polskim decydować powinien jedynie, wyłącznie i bez żadnych zastrzeżeń interes narodu i państwa polskiego, to trzeba odrzucić działanie wszelkich ukrytych sił, koteryj, czy mafij. W ustroju sejmowładztwa (takim, jaki u nas był przed rokiem 1926), w ustroju skrajnie liberalnym wpływy wszystkich tych sił istnieją i mają warunki do rozwoju.

P. wicepremier nie zatrzymuje się jednak tylko przy masonerii, ale wypowiada się przeciwko oddziaływaniu na życie polskie różnych międzynarodówek i ich agentur, zwracając naturalnie szczególną uwagę na najgroźniejszą dla Polski, międzynarodówkę komunistyczną.

3) W pojęciu rządnej, karnej demokracji mieści się pewna synteza — Polska ma być rządna i karna. Dlatego nie ma w przyszłym zjednoczeniu sił i miejsca dla różnego rodzaju warcholących wielmożów, którzy broniąc rzekomo tradycji i własności, wykazują w przeszłości i w teraźniejszości zbyt wiele egoizmu. P. wicepremier mówił o nich z przekąsem, że są to ludzie, którzy płaszczyli się przed gubernatorami zaborców i dla których święte jest prawo własności tylko wtedy, gdy idzie o ich własne osoby".

Ogólna ocena wystąpienia wicepremiera Kwiatkowskiego jest według cytowanego dziennika — zdecydowanie pozytywna:

„Mowa katowicka stwarza nowe fakty polityczne o praktycznym znaczeniu na najbliższą przyszłość, stwierdzając, iż istnieją nadal możliwości porozumienia i wskazując drogi, które ku temu wiodą. Równocześnie jednak mowa ta, wybiegając daleko w przyszłość, stwarza wizję nowej Polski, ku której zmierza współczesne pokolenie polskie i ku której prowadzą czynniki, kierujące Rzecząpospolitą".

O nowy podział kolonii zamorskich

Nawiązując do dyskusji, jaka w chwili obecnej toczy się w Belgii na temat pretensyj kolonialnych Niemiec, wychodzący w Lens (Pas de Calais) **„Narodowiec"** (nr 242) zwraca uwagę na charakterystyczną dla tych pretensji formę ogólnikowych sformułowań. Pismo sądzi mianowicie, że Niemcom chodzi nie tyle o ich dawniejsze kolonie, które nie posiadają potrzebnych dla rozwoju przemysłu niemieckiego surowców, lecz o tereny, które tych surowców posiadają bogaty asortyment.

Według cytowanego wyżej pisma, pretensje te przedstawiają się następująco:

„Niemcy zgadzają zrzec się pretensji do całego szeregu kolonji, jak naprzykład Tanganiki, gdzie Anglicy po wojnie inwestowali 25 milionów funtów szterlingów, wzamian jednak chcą oni w samym środku Afryki olbrzymiej kolonii, która obejmować będzie całe Kongo belgijskie, Ugandę, Urundi, portugalską Angolę, Kongo Francuskie i Kamerun. Roszczone są tak samo pretensje do Togo, lecz z tej kolonii pewnie Niemcy, po otrzymaniu satysfakcji w Kongo i Kamerunie, zrezygnowaliby.

W Londynie w niektórych kołach plan ten spotkał się ze stosunkowo dobrym przyjęciem, gdyż odbudowa mocarstwa kolonialnego Niemiec odbyła by się głównie kosztem państw małych i bezbronnych. O ile jeszcze Portugalia posiada kilkanaście okrętów wojennych, Belgia uważała, że jeśli zostanie napadnięta i tak się nie obroni, wobec czego zrezygnowała po 1918 r. z budowy floty wojennej. Francja miałaby w myśl tego planu oddać swe Kongo i część Kamerunu, podczas gdy Anglia resztę tej ostatniej kolonii.

Obszar żądanych przez Niemcy kolonij obejmuje około ¼ obszaru całej Afryki. Posiada on wszystko, a więc począwszy od najbogatszych na świecie kopalń miedzi, należących dziś do Union Minière de Katanga, a skończywszy na złocie (Kilo Moto), diamentach (Kasai), nafcie, cynie, a nawet radzie. Jeśli chodzi o surowce w rodzaju bawełny, kakao, kawy, owoców podzwrotnikowych, tłuszczów roślinnych, to Niemcy stałyby się odrazu jednym z największych ich producentów na świecie".

Pismo podkreśla, że w Belgii ocenia się zagadnienie postulatów kolonialnych Rzeszy, jako rzecz, mającą zaspokoić raczej jej ambicje mocarstwowe, niż istotne potrzeby. Przed wojną kolonizacja niemiecka dawała rezultaty jak najgorsze i koloniści niemieccy jeździli wszędzie, lecz nie do swoich kolonij. Zdaje się również nie ulegać wątpliwości — konkluduje „Narodowiec" — że przyznanie Niemcom kolonij nie rozwiązałoby wcale tak istotnej dla nich kwestii, jak zagadnienie przeludnienia Rzeszy.

*

Zaktualizowane przez wystąpienia niemieckie zagadnienie nowego podziału kolonij zamorskich daje **„Kurierowi Bydgoskiemu"** (nr 238) asumpt do nakreślenia stosunku Polski do tego zagadnienia. Pismo robi to w sposób następujący:

„Sprawa kolonialna nie jest wyłącznie kwestią Niemiec i zainteresowanych państw kolonialnych z Anglią, Francją, Portugalią, Hiszpanią i Holandią na czele. Jest to sprawa, interesująca również inne państwa europejskie, a zwłaszcza Polskę. Prawa Niemiec do kolonij zamorskich są bezsprzeczne, nie ulegaiace najmniejszej wątpliwości. Ale takie same prawa do kolonij posiada Polska. Jesteśmy narodem wielkim, rosnącym, prężnym, posiadamy wybrzeże morskie i nadal znajdujemy się w trakcie kładzenia podwalin pod własną flotę handlową. Mamy wszelkie dane ku temu, aby i nam powierzyć posiadłości kolonialne. Jesteśmy świetnymi kolonizatorami. Ameryka Północna, Brazylia, Argentyna, Australia przecież i naszymi rękami są skolonizowane. Rozbudowujemy własny przemysł krajowy, który nie może się ostać bez surowców z dalekich krajów. Słowem — z jakiejbyśmy strony podeszli do zagadnienia kolonialnego, wszystkie argumenty przemawiają za nami.

Trudno przewidzieć, jaki obrót we-

źmie sprawa rewizji stanu posiadania państw kolonialnych. Nie wiadomo dziś również, w jakiej formie wysunie zagadnienie kolonialne Hitler, jakich argumentów użyje, jakie będą pierwsze kontrpropozycje strony przeciwnej. To jest pewne, że Hitler wysunie sprawę śmiało i stanowczo, i o tym dziś już również wiemy, że zwłaszcza w Anglii są tendencje za oddaniem Niemcom niektórych posiadłości kolonialnych. Otwarcie takie stanowisko zajęły niektóre poczytne organy angielskiej opinii publicznej i nikt dotąd przeciwko temu proniemieckiemu stanowisku prasy nie zaprotestował.

Dyplomacja polska ma przed sobą ciężkie zadanie. Powinniśmy już dziś być przygotowani na ten moment. Dostatecznie przygotowane musi być również społeczeństwo. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, musimy i my wystąpić ze swoimi żądaniami. A poprzeć te żądania musi kraj tak, jak poparł akcję rewindykacji Śląska Zaolzańskiego".

„Kurier Bydgoski" dochodzi do wniosku, że akcja w tym kierunku powinna się udać, gdyż „prawo moralne jest po naszej stronie".

Znaczenie sojuszów

Kryzys czeski postawił na porządku dyskusji zagadnienie znaczenia i wartości sojuszów. **„Kurier Warszawski"** (nr 284) przynosi następujące rozważania Z. Cybichowskiego na powyższy temat:

„Podstawą sojuszu jest solidarność interesów sojuszników, i sojusz trwa, póki ta solidarność istnieje. Odpowiednikiem prawnym tej zasady jest tak zwana klauzula „rebus sic stantibus", która głosi, że umowa międzynarodowa, a umową jest też sojusz, traci moc, gdy się istotnie zmieni sytuacja, na której umowa się opiera. Zbadaniu tej klauzuli poświęcono tomy studiów, lecz choć różne szczegóły, tej klauzuli dotyczące, są do dziś sporne, to jednak, opierając się na teorii i praktyce międzynarodowej, dojść trzeba do konkluzji, że po pierwsze istnienie tej klauzuli jest pewne, i że po drugie wobec jej ogólnikowego charakteru jej zastosowanie wywołuje nieraz spory między państwami. Kontrahent umowy międzynarodowej, zainteresowany w jej utrzymaniu, już nieraz zarzucił stronie przeciwnej złamanie umowy, gdy ta strona na tę klauzulę się powołała, nie mogąc, lub nie chcąc umowy dopełnić, która stała w sprzeczności z jej żywotnymi interesami.

Solidarność interesów, będąca podstawą przymierza, może być różnego rodzaju, dotycząc interesów bądź to politycznych, bądź to gospodarczych, bądź to kulturalnych. Solidarność jest tym pełniejsza, im więcej interesów ogarnia, i jest rzeczą jasną, że alians jest tym mocniejszy, im większa jest solidarność interesów aliantów. Stąd wniosek, że państwo, któremu zależy na przymierzu, musi tę solidarność stale popierać i dążyć do maksymalnego jej rozwoju. Nieporozumienia i spory z jednej strony, wzrost interesów partykularnych z drugiej strony ścieśniają tę solidarność i przez to osłabiają sojusz".

Wywody swoje kończy Z. Cybichowski następującymi konkluzjami:

„Oceniając przymierza z punktu widzenia ogólnego, można je podzielić na zwykłe i pogłębione. Pierwsze są zawarte przez państwa bez względu na ich stosunki wewnętrzne, na ich zasady i metody rządzenia. Drugie łączą państwa, które zgadzają się nie tylko w polityce zagranicznej, lecz także wewnętrznej, opierając ją nie koniecznie na identycznych, lecz w każdym razie na pokrewnych podstawach.

Oba rodzaje sojuszów zdarzają się w praktyce, lecz wobec wielkiej płynności życia międzynarodowego oparcie niepodległości państwa wyłącznie na przymierzach nie wystarczyłoby, gdyż doświadczenie uczy, że najlepszą rękojmią egzystencji państwa i jego rozwoju jest dobrze wyszkolona i wyposażona armia, poparta przez naród, wolny od głębokich waśni i sporów".

WŚRÓD KSIĄŻEK

Patkowskiego »Sandomierskie« *)

Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Poznaniu pieczołowicie wypełnia luki w dziedzinie luksusowego piśmiennictwa monograficznego, poświęconego krajoznawstwu a opracowanego raczej popularnie. Ten typ wydawnictw (od którego zagranicą się roi), zdaje się, że jest u nas niedoceniany należycie, aczkolwiek propagandowe jego znaczenie, szczególnie jeśli chodzi o eksport, nie wymaga dłuższych wywodów. (Wydawnictwo Polskie trzy już wybitne ma za sobą pozycje eksportowe w języku angielskim: Smoleńskiego - Pomorię, Morcinka - Silesię, i Kilarskiego - Gdańsk).

Ostatnio z cyklu „Cudów Polski" ukazał się tom pióra Aleksandra Patkowskiego pt. „Sandomierskie - Góry Świętokrzyskie", na szczególniejsze zasługujący zainteresowanie, odkąd widły Wisły i Sanu skupiły na sobie ciekawość całego kraju.

Przedmowę napisał min. Eugeniusz Kwiatkowski, wyrażając nadzieję, że „wznoszone dziś w Centralnym Okręgu Przemysłowym huty i zakłady przemysłowe przejmą niezadługo tradycje świetnie ongiś rozwijających się hut i „hucisk" świętokrzyskich, a dawne zagłębie staropolskie będzie w systemie naszego gospodarstwa narodowego nie tylko sercem w znaczeniu historyczno - geograficznym, ale również stanie się nim w znaczeniu organicznym, ułatwiając przez swój rozwój i uprzemysłowienie żywszą działalność gospodarczą innych części i dzielnic kraju".

Książkę Patkowskiego czyta się jak powieść. Nawet rozdział „Stara ziemia", w którym stykamy się z tak arcyegzotycznymi dla przeciętnego śmiertelnika wyrazami jak: łupki radiolaritowe, łupki bitumiczne, piaskowce glankonitowe, potrafi szczerze zaciekawić, co talentowi pisarskiemu autora wystawia świadectwo jak najlepsze. Szlachetnie prosty styl i umiejętność obrazowania idą w zawody z rozległością wiedzy i pracowitością.

„Gdy po pierwszym ataku północnego lodowca, co nie zdołał opanować Gór Świętokrzyskich, wzdłuż jego krawędzi po tundrze, porosłej karłowatą brzozą i wierzbą, stąpały przystosowane do zimna zwierzęta, w sąsiednich wapiennych jaskiniach Ojcowa, w Krakowskiem i Olkuskiem żył człowiek" — zaczyna Patkowski rozdział drugi. Zaciekawieni towarzyszymy małym niedolom życia codziennego naszego prymitywnego praszczura, któremu, po wymarciu straszliwych mastodonsaurusów, mąciły zacisze domowe mamuty i niedźwiedzie, które z czasem znów ustąpiły miejsca zwierzętom stepowym.

Już 12 tysięcy lat temu, — jeśli wierzyć archeologom — zajmowano się w Górach Świętokrzyskich górnictwem, wydzierając ziemi krzemień pasiasty. Wogóle 1/3 najstarszych stanowisk górniczych w Europie znajduje się w Radomskiem, Iłżeckiem i Opatowskiem.

Na krajobraz Świętokrzyskiego patrzy Patkowski oczyma Żeromskiego. Pamięci autora „Wiernej rzeki" (dopływu Białej Nidy - Łośny) poświęcił całe dzieło; kult Żeromskiego z każdej niemal wyziera karty.

„Rozrosną się od tysięcy fabryk stare grody: Kraków, Sandomierz..." — pisał Żeromski.

Rozrośnie się Sandomierz, bo rozrosnąć się musi! Piękna przeszłość gospodarcza tej ziemi, pracą staropolskich „kuźniaków", „kretów", „kaszkieciarzy" i „gulonów" wzbogacona, obowiązuje! Staszica, Lubeckiego, Łubieńskiego i innych mężów starania pracowite odżywają...

Wiele krwi i łez trzeba było jednak na Wolność, ten najodpowiedniejszy klimat dla większych poczynań. Krwi Sandomierszczyzna nie żałowała. O dzielnych bojownikach i dzielnych tych bojowników czynach orężnych pisze Patkowski ze szczerym pietyzmem. Opowieść o dniach krwi i chwały, o dniach nieszczęść narodowych kończy „Spełniony sen o szpadzie", rozdział o trudzie legionowym. Po wyścigu krwi i żelaza następuje w Sandomierskiem — wyścig pracy. Pod koniec książki daje autor zwięzły przegląd tej pracy (Post Scriptum), wyrażając nadzieję, którą żywi dziś cały naród, zasłuchany w muzykę świeżozmontowanych maszyn w tej najbardziej polskiej Polsce.

Mnóstwo artystycznych zdjęć (dobór autora) podnosi wartość wydawnictwa, a czytelnika nieznającego Sandomierszczyzny i Gór Świętokrzyskich, oczarowanego pięknem tamtejszego krajobrazu (choć w ten sposób) — kusi do zaprojektowania na przyszłe lato wyprawy podobnej do tej, jaką przed laty przedsięwziął Julian Ursyn Niemcewicz, który „skoro kilkuniedzielną w publicznych obowiązkach znalazł przerwę, by dogodzić nienaglącej ciekawości, ujść przed upałami murów Stolicy, zażyć na koniec potrzebnego dla zdrowia ruchu wybrał się na zwiedzenie tej części Polski, która dla dawnych pamiątek i obfitych płodów kruszcowych i innych powodów jest jedną z najbardziej obchodzących Polaka".

Tadeusz Nowakowski

*) Aleksander Patkowski: Sandomierskie — Góry Świętokrzyskie. Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. Poznań. 1938. Str. 238.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.